Rok 3. Kraków, dnia 20 Kwietnia 1884 r. Nr. 7 i 8.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

Księgarnia K. Bartoszewicza w Krakowie

wydała oraz otrzymała na skład główny następujące dzieła:

Anczyc Wł. Dzieje narodu węgierskiego popularnie opisane z rycin. —·40

Asnyk. (E-ly) Cola Rienzi; dramat historyczny z XIV. wieku w 5-ciu aktach oryginalnie napisany cena 2 złr. zniżona 1·—

— Trubadurowie. Kraków 1872. —·20

Bajron. Don-Żuan w haremie, tłum. Edward Porębowicz. Kraków 1882 —·30

Bartoszewicz Juljan. Historya literatury polskiéj, wydanie 2 pomnożone i tańsze. — Kraków 1878. 2 tomy 5·—

— Historya pierwotna Polski, pierwsze wydanie z rękopisu 4-ty. Kraków 1879. 14·—

— Szkice z czasów saskich. Wydanie 1. Kraków 1880. Treść:

Kropińscy, obrazek sejmikowego życia. Grandmuszkieterowie Augusta II. Kampement w Warszawie. 1732. Sprawa Karwickiego. Pan Bystry. Dzieje niewiasty polskiej. Koronacje obrazów świętych. Ignacy Bohusz, późn. sekretarz konfed. Barskiej. Karol XII. w Warszawie w roku 1702. Warszawa w r. 1705. Ks. Wincenty Santini, nuncyusz w Polsce. 1721—1728. Systemat Karwickiego reformy Rzeczypospolitej w roku 1706. 3·50

— Studja historyczne i literackie. Wydanie 1-sze. Kraków 1881.

Treść tomu 1-go: Helena Iwanówna, żona Aleksandra Jagiellończyka. Stary poemat o Gdańsku. Krystyna Poniatowska (przyczynek do dziejów braci Czeskich w Polsce). O nuncjuszach w Polsce. O dochodach króla Stanisława Augusta. O przedrukowaniu Voluminów Legum 1732 r. O nowem wydaniu sag skandynawskich. Kniaź Kurbski na Wołyniu. Summy neapolitańskie. Kronika pałacu Krasińskich. Podróż Regnarda po Polsce. O bibliji reimskiej. Mikołaj Jemiołowski jako historyk. 3·50

Treść tomu IIgo: Elekcja Michała Korybuta. Księga kapturów rzeczyckich. O kasztelanie brzeskim Matuszewiczu jako poecie. Chazarowie i Połowcy. Ks. Wojciech z Konojad Dembołęcki. Starania domu Rakuzkiego w XVI. wieku dla pozyskania korony polskiej. Kasztelanja Połaniecka Kochanowskiego. Poselstwo księdza Jędrzeja Załuskiego do Portugalji 1674 = 1676. Podróż bezimiennego księdza francuzkiego do Polski za Jana Sobieskiego. Konstanty Swidziński i jego wieczysta fundacja. Hetmaństwo. Teatyni w Warszawie. 3.50

Treść tomu III-go: Warszawa i Kraków, jako stolice. Jan S. Jabłonowski i jego dzieło: Skrupuł bez skrupułu. Prawo o elekcji. Bitwa pod Beresteczkiem. Księga protokółów franciszkańskich prowincji ruskiej. Mazowsze-Mazury. Wawrzyniec Słupski Bandura, kandydat do korony polskiej. Co znaczyła i gdzie była Ukraina? Anna z Sapiehów Jabłonowska. Czy Przecław Lanckoroński był hetmanem Kozaczyzny. Kniaziowie i Książęta w Polsce. 3·50

Cena 3-ch tomów razem 10.50

Bartoszewicz Juljan. Anna Jagiellonka, 2 tomy razem Kraków 1882. 3.50

— Szkic dziejów kościoła ruskiego w Polsce, wydanie 1-e Kraków 1880. 4·—

— Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, Wojewody Mińskiego. Warszawa 1862. 2·50

— Kniaź i Książę. Kraków 1876. —·60

— Zamek Bialski, historya miasteczka, obrazy z życia magnatów. 1881. Lwów 2·25

Bartoszewicz K. Małpa - człowiek, nieznana satyra z XVIII. w. (odbitka z Ateneum) —·50

— Życie Jana Kochanowskiego, treściwie zebrane Kraków 1883. —·20

— Dwadzieścia kronik Przeglądu literackiego i artystycznego. Kraków 1883. —·80

Bełcikowski. Wieczór w Czarnolesiu, scena liryczna Kraków 1882. —·20

Beranger. Piosnki w tłumaczeniu L. Kozłowskiego (w druku).

Bodzantowicz. Rodzina konfederatów. Puławscy. Lwów. 1869, cena 3 złr. zniż. na 1·50

Buliński. Historya kościoła polskiego 3 tomy. Kraków 1873. cena 12 złr. zniż. na 6·—

Buszczyński. Ameryka i Europa, studium historyczne i finansowe z krytycznym na sprawy społeczne poglądem. Kraków 1876. cena 5 złr. zniż. na 2·50

— Sądy cudzoziemców o Polsce i jej walkach z zaborcami. Kraków 1883. —·50

Chołoniewski ks. Pisma pośmiertne 2 tomy. Lipsk 1854 cena 5 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Dzieduszycka Anastazja. Listy nauczycielki. Kraków 1883. 1·—

Dzieduszycki Izydor Dr. Patrjotyzm w Polsce. Kraków 1882 i 1883, 2 części 1·—

Dzieduszycki hr. Maurycy. Żywot Wacława Hieronima Sierakowskiego arcybisk. lwowskiego. Kraków. 1868 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·80

Flaubert Gustaw. Córa Hamilkara (Salambo). Kraków 1867 (na wyczerpaniu) cena 2 złr. 50 ct. zniż na 1·—

Grudziński St. Idealista, poemat fantastyczny. Kraków 1871 cena 60 ct. zniż. na—·20

Heisig. Przewodnik do rysunku cyrklowego i linijnego, jako wstępna nauka do geometryi wykreślnej, rysunków architektonicznych i t. d. Kraków 1875 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Hoffmann A. W. Wstęp do nowoczesnej chemii, przetłómaczył z 5 wydania niemieckiego L. Masłowski. Kraków 1875 cena zł. 3.50 ct. zniżona na 1·50

Dr. Jordan. Nauka położnictwa dla użytku położnych 2 tomy. Kraków 1879 (na wyczerpaniu) 4·—

Kasprzycki. Geografia początkowa cena 75 ct. zniż. na—·30

Kraszewski więzień i Niemcy Kraków 1883 —·30

Kochanowski Jan. Pieśni i treny. Kraków 1883 —·50

— Fenomena, Muza, Satyr, Monomachja. Kraków 1883 —·40

— Odprawa posłów greckich, Szachy, Dziewosłąb, Zuzanna, Broda, Marszałek, Zgoda, Epitalamium, Proporzec, Wtargnienie do Moskwy, Pamiątka. Kraków 1883 —·50

— Fraszki. Kraków 1883 —·40

— Fragmenta, Wzór pań mężnych, Wróżki, O Czechu i Lechu, Wykład cnoty, O pijaństwie, Apoftegmata. Kraków 1883 —·30

— Psałterz Dawidów. Kraków 1883 —·80

— Rymy łacińskie w tłomaczeniu Brodzińskiego i Syrokomli. Kraków 1883 —·80

— Dzieła. Wydanie kompletne w 4-ch tomach, zawierające wszystkie pisma polskie Kochanowskiego, oraz dzieła łacińskie w tłomaczeniu Syrokomli i Brodzińskiego. Wydanie uznane za najlepsze ze wszystkich dotychczasowych, z dodaniem życiorysu, facsimile i portretu poety podług pomnika w Zwoleniu. Kraków 1882 3·20

— toż samo w oprawie w płótno ang. 4·80

Koziebrodzki. Klaudja, dramat. Kraków 1871 —·40

Krasicki Ignacy. Bajki i przypowieści. Kraków 1883 —.20

— Satyry. Kraków 1883 —·30
— Wiersze różne i wiersze z prozą. Kraków 1883 —·40
— Listy. Kraków 1883 —·10
— Myszeis. Kraków 1883 —·20
— Monachomachja i Antimonachomachja. Kraków 1882 —·20
— Wojna Chocimska. Kraków 1883 —·20
— Pieśni Ossyana. Kraków 1883 —·30
— Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego Kraków 1883 —·50
— Historja. Kraków 1883 —·50
— Pan Podstoli. Kraków 1883. 1·—
— Komedje. Kraków 1883. 1·—
— Dzieła w 5 tomach z portretem. Kraków 1883. 4·—
— toż samo w oprawie 6·—

Kraszewski J. I. Tomko Prawdzic, wierutna bajka. Lwów 1866. cena 50 ct. zniż. na—·25

Lipiński Tymoteusz. Pamiętniki z lat 1825 — 1831, Kraków 1883. 2—

Łoziński Wł. Galiciana. Lwów 1872 cena 1 zł. 50 ct. zniżona na—·80

Mill John Stuart. O rządzie reprezentacyjnym, przełożył na język polski G. Czernicki. Kraków 1866, cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·50

Müller Max. prof. Religja jako przedmiot umiejętności porównawczej, Kraków 1876 cena 1 zl. 20 ct. zniżona na—·60

Dr. Müller Karol. Świat roślinny, dzieło poświęcone miłośnikom przyrody z 400 drzeworytami. Kraków 1867 2 tomy 4 złr. zniż. na 2.50

Nemcy czy Moskale. Kraków 1881. —·25

Nowelle. Zbiór nowelli: Dickensa, Daudeta, Puszkina Copeé'go, Turgeniewa, Kulisza, Elizy Polko, Jokaja i t. d. Kraków 1883. 3 zeszyty. Każdy zeszyt po —·50

Okoński. Niewinni i Antea, dramaty. Kraków 1876. 1 złr. zniżona na—·50

Opaliński. Satyry. Kraków 1883 (w druku). —·80
— toż samo w oprawie 1·20

Pawlikowski. Tajemnica pani Krzuckiej, nowella, Kraków 1876. —.75

Pieśni polskie, zbiór ulubionych pieśni patrjotycznych. Kraków w r. 1883. —·60
— toż samo w eleganckiej oprawie 1·—

Pol Wincenty. Obrazy z życia i natury 2 tomy, 4 zł. zniżona na 1·60

Przewodnik po Krakowie (najnowszy) z dołączeniem planu miasta, informacyj, adresów. Kraków 1882—·60
— toż samo w oprawie —.60

Rovani. Młodość Juliusza Cezara, opowiadanie z czasów rzymskich. Kraków 1876. (wyczerpane)

Sabowski. Józef Hauke Bosak, szkic biograf. Kraków 1866. —·20

— Intrygant, powieść. Kraków 1876 (na wyczerpaniu). zniżona na—·75

Schmidt Henryk. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta z 8 rynami rysunku Kossaka i W. Eljasza. Kraków 1862 cena 1 złr. 20 ct. zniż. na—·50

Szujski. Dlugosz i Kallimach. Lwów 1880. 1·—

Słowacki Juljusz. Hugo, Mnich, Arab, Jan Bielecki, Żmija, W Szwajcarji, Ojciec zadżumionych. Kraków 1882. —.40
— Lambro, Anhelli, Wacław, Duma o Rzewuskim, Grób Agamemnona, drobne wiersze. Kraków w roku 1882. —·40
— Mindowe, Marja Stuart, Pan Tadeusz. Kraków w r. 1882. —·40
— Sen srebrny Salomei, Król Duch. Kraków 1882.—·40
— Balladyna. Kraków 1882. —·40
— Beniowski. Kraków 1882. —·40
— Lilla Weneda, Mazepa. Kraków 1882 —·40
— Kordjan, O potrzebie idei. Kraków 1882. —·40
— Ksiażę niezłomny. Kraków 1882. —·40
— Ksiądz Marek, Poema Piasta Dantyszka o piekle Kraków 1882. —·40
— Dzieła Juljusza Słowackiego, pierwsze tanie wydanie w 5-ciu tomach, zawierające toż samo co wydania lipskie i lwowskie z dodaniem odnalezionego urywku poematu „Pan Tadeusz“ Kraków 1882 cena 4·—
— toż samo oprawne w płótno angielskie 6·—

Sprawozdania literackie. Maj-Październik 1882. r. Kraków 1883 —·20

Stanowisko Polaków w sprawie rossyjsko-niemieckiej. Kraków 1882. —·30

Szajnocha. Początek lechicki Polski. Lwów 1858 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50

Szpaderski X. Patrologja, 2 tomy. Kraków 1878 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50

Wierzbicki Dr. Geometrja wykreślna wraz z zastósowaniem do teoryi cieniow i wolnej perspektywy 2 części z 2 atlasami dla użytku wyższyh szkół realnych. Kraków 1875 każda część 2 zł. zniżona na 1 złr. 50 ct. dwie części 3·—

Zacharjasiewicz. Marek Poraj, powieść z czasów pierszego rozbioru Rzplitej polskiej. Kraków 1867. cena 2 złr. 40 ct. zniżona na—·80

Załęski St. ks. T. J. Słowo o książce Juljana Bartoszewicza: Szkic dziejów kościoła ruskiego. Lwów 1881. —·15

Ziemiałkowski Florjan, życiorys z portretem. Kraków 1883. 1·—

Zawiliński R. Z Etnografji krajowej. Kraków 1883. —·20

Zółkowski. Momus. Kraków 1883 —·80
— toż samo w oprawie 1·20

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca **Jan Blaschke.**

W drukarni A. Koziańskiego.

Rok III. Kraków, dnia 20 Kwietnia 1884 r. Nr. 7. i 8.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny redaktor K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Cena pojedynczego numeru 30 cnt.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

SONETY.
Augusta hr. Platena.

(Wolny przekład z niemieckiego).

Przebaczcie, że w mych pieśniach tyle skarg się mieści,
Przebaczcie łzy po licu płynące zbolałem,
Lecz wierzcie, że w mem życiu wiele wycierpiałem,
Że nieraz serce moje — przeszył miecz boleści!
Sądzicie mię po marnym dźwięku słów zbyt srogo,
Bo pierś moja zamknięta przed waszem spojrzeniem;
Ach! każdy żart był tylko bólu zagłuszeniem —
Bo wszelki śmiech jam zawsze płacił nazbyt drogo!

I.

Żem cię kochał miłości snując sen uroczy,
Że myśl ta mojej duszy stała się marzeniem —
Ni twojem, ani ludzkiem było przypuszczeniem,
Bo cicho bije serce — skoro się krwią broczy.

Czy spokój czuję w piersi, czy mię boleść tłoczy —
Ty nie myślisz współczując nad tem zagadnieniem;
Gdy mię twoi niechętnem darzyli spojrzeniem,
Odwagę miałem w piersiach — a łez pełne oczy.

Bo wrząca moja dusza do słońca się rwała —
Pociskom nie broniła otwarta pierś naga,
A miłość mię roskosznie do snu kołysała...

I dziś przed tą miłością dusza się nie wzdraga,
Że dziwna, więc mię za nią nie czeka pochwała,
Ale drwić z niej i szydzić — byłaby odwaga!

II.

Żaden obraz późniejszy nie zatarł wyrazu,
Który dusza w głębinie uczuć zachowała,
A choć burza światowa moje sny rozwiała —
Chętnie odnawiam rysy twojego obrazu.

O chwilo! w której twego słuchając rozkazu
Niepojęta dla obcych pieśń z serca się rwała!
Dzisiaj światu — wraz zemną — łupem się dostała,
Który jej nie zrozumie, mając serce z głazu.

Jam winien, że poznany przez cię nie zostałem —
Poważny i zamknięty, wyznania daleki,
Uczuć moich wyjawić przed tobą nie śmiałem...

Dziś prąd miłości znów moje ożywia powieki —
Patrzę na cię i kocham, jak dawniej kochałem,
Ale dni mej młodości przepadły — na wieki!

KRONIKA.

List kronikarza do wydawcy.

Najczcigodniejszy wydawco!

Pełen skruchy staję przed Tobą i drżąco błagam o przebaczenie. Moja wina, moja bardzo wielka wina! Od trzech tygodni oczekujesz na kronikę i nie wydajesz «Przeglądu», a ja na podobieństwo naszej delegacji wiedeńskiej milczę jak zaklęty. I dziś jeszcze zamiast kroniki, otrzymujesz tylko list odemnie.....

Posłuchaj, a może przebaczysz.

Wiadomo ci zapewne, że w dzisiejszych czasach, kto żyje zabiera się do przemysłu, handlu i operacyj finansowych. Poszedłem za przykładem wielu ekscellencyj, szambelanów, ministrów, dziennikarzy i na małą skalę rozwijałem swoją w tym kierunku działalność. Stosunek mój z Laenderbankiem jak wiadomo, przyniósł mi dość znaczne korzyści— uzyskane ztąd fundusze miałem zamiar podwoić na drodze handlu. Rozpocząłem od zboża a szczególniej od *grochu*, gdyż towar ten jak «Czas» zapewniał cieszył się wielkiem w Wiedniu powodzeniem. Skupowałem więc groch jak mogłem najtaniej i posyłałem go na targ wiedeński. Nie szło mi jednak tak jak sobie życzyłem. Od samego początku czułem stagnację w tym interesie. Nareszcie kiedy w ostatnich dniach Marca przygotowałem pióro, papier i natchnienie do pisania kroniki, otrzymałem od mojego ajenta handlowego z Wiednia telegram następujący:

«Pszczenica usposobienie spokojne. Konicz poszukiwany. *Groch* popyt mały.»

Spociłem się ze strachu i o kronice już myśleć nie mogłem. Nazajutrz dostałem jeszcze gorszy telegram:

«Pszenica bez zmiany. Usposobienie mdłe. Groch galicyjski (podolski) spada na łeb, na szyję.»

I wierz tu «Czasowi.» Raz mnie już złapał na akcjach Laenderbanku, a teraz grochem mnie dobił. Dowiedziałem się, że na ów groch sławiony trudno znaleźć kupca. Jest mało pożywny, smaku w nim mało, po spożyciu sprawia boleści. Niemcy udawali, że go cenią, mieli w tem bowiem własny interes. Nazwali go nawet «ekscellencją» i dali mu kilka medalików. Burczał on i huczał z początku, a dziś jest spokojny, lecz wytwarza rozmaite kwasy w żołądku. Poseł Zacharjewicz, który jadł go przez kilka miesięcy, odrzekł się Wiednia i poselstwa, aby z tym grochem nie mieć nic do czynienia. Jeżeli go Prusacy nie zechcą kupić do swoich kiszek grochowych — zbankrutujemy na nim wszyscy. Wprawdzie «Czas» znowu groch zachwala i wielkie pokłada w nim nadzieje, ale szlachetny ten organ Rapaportów i innych ultramontanów zaczyna mi być całkiem podejrzanym.

W końcu ochłódłem, zacny wydawco, z przerażenia i pomyślałem na nowo o kronice. Napisaniu jej stanął na przeszkodzie brak czasu i sił fizycznych podczas wielkiego tygodnia. Uczęszczając pilnie na re-

III.

Kto za roskosznym gonił życia ideałem
I widział nagłe szczęścia swojego rozbicie,
Komu życiem cierpienie, a cierpieniem życie,
Ten odczuje wraz ze mną, co ja odczuwałem.

Kto wszedł w kręty labirynt w mniemaniu zuchwałem,
Że dojdzie, gdzie jest wyjścia tajemne ukrycie;
Komu miłość nieszczęsne potrzaskała życie,
Gdy się jej pełen wiary, oddał sercem całem —

Kto wśród bicia piorunów własnej szukał zguby,
Czy też wśród rozszalałej, zimnych fal kaskady
Nie chcąc serca narażać na fatalne próby —

Kogo grobu zimnego nęcił całun blady,
Którego nie przebija szept miłości luby:
Ten pojmie życia mego — boleści i zdrady!

IV.

Chciałbym gdy przyjdzie chwila z żywotem rozstania,
Zgasnąć szybko, jak gwiazdy drżące na błękicie,
I tak pożegnać ziemskie skołatane życie,
Jak je pożegnać Pindar miał według podania.

Nie pragnę ja z największym mistrzem porównania,
Co siłą natchnień stanął na potęgi szczycie —
W zgonie jego — mej śmierci chcę znaleźć odbicie,
Bo nie znam piękniejszego nad ten zgon podania.

W teatrze — pośród śpiewów — mistrz głowę natchnioną
Którą do snu dźwięk pieśni kołysał pieszczony
Na oblubieńca swego sparł przyjazne łono —

A gdy chórów przebrzmiały melodyjne tony
Pielgrzymka jego życia była ukończoną —
Bo duch do bogów odszedł — z ciała wyzwolony.

We Lwowie 1 marca 1884.

Edmund Rossowski,

CARITAS ANDRZEJA DEL SARTO.

Przez Elizę Polko.

I.

WE FLORENCJI.

W pracowni Andrzeja Vannucchi, zwanego del Sarto, śliczna Madonna di San Francesco, którą mistrz dla kościoła panien Franciszkanek przy ulicy Pentolini za małą cenę wymalował, zupełnie ukończona stała na stalugach. Harmonją i łagodnością kolorytu, czystością i siłą przeźrocza i najwyższą starannością technicznego wykończenia, jakoteż czarującą gracją ugrupowania wywołał obraz we Florencji całej najżywsze podziwienie, a atelier malarza nigdy nie było wolne od odwiedzających, którzy dzieło ujrzeć pragnęli.

Obecnie, w tej chwili Andrzej sam w głębokiem zamyśleniu siedział przed obrazem, ktory następnego poranku miał być przeniesionym do klasztoru. Ciemne marzące oczy pełnem miłości wejrzeniem jeszcze raz zawisły na wszystkich utworzonych postaciach, jeszcze raz pożegnać je chciały, ale wzrok stawał się coraz smutniejszy, zasuwały go ciemne myśli by ciężkie chmury, jak zaciemniał sobie powoli jasne niebo życia artystycznego!

Gdzież podziały się owe wesołe czasy, w których Andrzej del Sarto z przyjacielem Franciszkiem Bigio i genjalnym budowniczym Jakobem Sansovino na Sapienza razem pracował, dysputując z nimi do późnej nocy, o sztuce i jej trudnościach, lub rysując z rzeźbiarzem Nicolo Pericoli! Gdzież skryli się owi artyści zbierający się wówczas u wesołego Francesca Rustici, który także na Sapienzie mieszkał i tam akademją kotła «Academia del pajuolo» założył! Jacyż to byli szaleńcy ci wszyscy młodzi malarze, rzeźbiarze, złotnicy i architekci, którzy regularnie zgromadzali się, śpiewali wesołe pieśni, deklamowali żartobliwe wiersze i wynachodzili nowe potrawy. Ileż dowcipu i rozumu strzelało tam by ogień rakietowy! Jakże zachęcano się, ganiono, podziwiano i uwielbiano nawzajem!

A czasem w piękne noce, nieco zdziczały ogród za Sapienzą oświecał się i przystrajał fantastycznie, śliczne dziewczęta i kobiety znajdowały się, niebo zaś, które wyiskrzyło nad owem nieporównanem miastem nad Arno sklepienie swoje, spoglądało na pstro-czarodziejską zabawę spokojnie. Podczas takiej uroczystości właśnie — o! jakże westchnął głęboko na to wspomnienie

---

kollekcje do OO. Jezuitów martwiłem i tak już zmartwionego grochem ducha. Od dnia św. Epifaniusza (7 Kwietnia) do dnia św. Hermenegildy (13 Kw.) pościłem bezustannie i żołądek mój doprowadziłem do stanu rozpaczy. Gdyby nie butelczyna wdówki Cliquot, której dałem buzi w dzień św. Marji Kleofy (9 Kwietnia), gdyby nie pół kopy ostryg połkniętych ze świstem w dzień św. Ezechiela (10 Kw.) i gdyby nie maleńka puszka homarów i niewinna porcyjka łososia w dzień św. Nankiera (11 Kw.) — byłbym prawdopodobnie zeszedł z tego świata w stanie zagłodzenia. Dopiero dzięki wspomnianej już wyżej św. Hermenegildzie, która zawitała do nas na czele wielkiej armji kiełbas i szynek, przyszedłem do siebie i stałem się na nowo zdolny do pracy.

Jak dalece podczas wielkiego tygodnia «spała dusza moja» dowodzą choćby imieniny czcigodnego prezesa «Koła liter. art.» obchodzone w dzień św. Marji Kleofy. Pragnąłem koniecznie wypowiedzieć deotymiadę (improwizację) na cześć Kossaka. Uczyniłem więc to co czynią wszyscy deotymiarze, to jest wziąwszy kawałek papieru postanowiłem sobie improwizację napisać, nauczyć się jej na pamięć, a później ją z ogromnem namaszczeniem, powoli, zająkując się jak ten, który szuka rymu, wypowiedzieć w szlachetnem gronie członków «Koła.» Usiadłem i zacząłem pisać:

Każdy się wzrusza
Gdy dzień Juljusza,
Bo któraż dusza
Do paralusza,
Błoto czy susza,
Się nie porusza,
Ażeby uszanować Juljusza.

Jakaż katusza
Takich wysusza,
Których los zmusza
Zdala Juljusza
Dziś się znajdować.....

Wszystko przepadło — zabrakło mi rymu na *usza*, a bez tej jednostajności rymu niknęła cała wzniosłość improwizacji. Wprawdzie miałem jeszcze w zapasie: kapelusza, Mateusza, kontusza, Machabeusza, grusza, ratusza, — ale z tych wszystkich rymów ani sposób było skleić końca z jakim takim sensem. Wprawdzie jako improwizatorowi wolno mi było mówić bez sensu, ale na nieszczęście mam pewną słabość do niego, w czem jak wiadomo nie jestem popierany przez większość delegacji naszej w Radzie Państwa. Nie mogąc więc sobie dać rady z «Juljuszem» sądziłem, że łatwiej dobiorę rymu do «Kossaka.» Zacząłem więc na nowo:

Wszystkich dzisiaj myśl jednaka
Czcić prezesa J. Kossaka,
A gdy wola ludu taka
Wsiadam przeto na rumaka,
Na którym ksiądz jeździł Baka.
I choć nie mam szapoklaka.....

Tu znowu zdrowy sens dał drapaka. Bo czy zrymowałbym *fraka*, czy *paka*, czy *raka*, *Polaka*, *kozaka*, czy wreszcie *kuraka*, na nic by się nie przydało. Rywalizowałbym tylko

Andrzej del Sarto—po raz pierwszy spotkał demona swego życia Lukrecyę del Fede piękną wdowę po kapeluszniku (Berretajo).

Majestatycznej postawy i pociągającego obejścia Lukrecya od tej chwili wszelkiemi środkami, które miała pod ręką, młodego malarza starała się usidlić, co niezadługo udało się jej doskonale, on bowiem o niczem więcej nie myślał, nic nie pragnął i — tylko ją malował. Pochlebiało to próżności pustej kobiety, że odtąd na wszystkich obrazach Andrzeja jej i zawsze jej głowy znachodzono; nagradzała go spojrzeniem, uśmiechem i słowem przy każdej sposobności, a pomału zaciągała sidła silniej i coraz silniej wokoło wierzącej, szczerej duszy. Odwiedzała jego starych rodziców, obsypywała ich uprzejmością, wiedząc dobrze, iż to najpewniejsza droga do serca tkliwego syna.

Zatem stało się, co się stać musiało.

Andrzej del Sarto mimo przestróg przyjaciół piękną wdowę jako panią do swego małego domku przyprowadził. Odtąd skrzydła jego były związane. Przebiegła Lukrecya zrzuciła uciążliwą maskę, którą nosiła do tej chwili i ukazała się w prawdziwej postaci próżnej, chciwej władzy kobiety, pracującej od rana do wieczora nad tem, żeby «pana» swego w niewolnika zamienić. Względem rodziców męża przybrała ton wyniosły i wkrótce pychą swą i zimnem obejściem wypędziła ich z domu syna, z przyjaciół również żaden nie przestąpił już progów Andrzeja, gdyż wiedzieli wszyscy, że Lukrecya ich nienawidzi. Marzenia o szczęściu wygnane zostały na zawsze, czuł to Andrzej del Sarto z dnia na dzień coraz wyraźniej.

Nie anioł wszedł do domu jego, demon raczej.

Bezustannie napędzała go wprawdzie do roboty, ale tylko w chęci zysku, a gdy ukazała się w pracowni to po to jedynie, żeby zobaczyć czy obrazy wnet będą do sprzedaży gotowe. Zazdrosnem okiem czuwała nad wykonaniem każdego zamówienia, bojąc się mniejszej ceny w przyszłości i wtedy tylko, gdy twarzy jej potrzebował, a potrzebował jej prawie zawsze, ponieważ długi czas pozostała dla niego typem piękności, zdradzała nieco zajęcia dziełem.

Sama zwykle układała się z handlarzami i amatorami, a gniewała się niezmiernie, iż przed kilkoma tygodniami Andrzej w jej nieobecności Madonnę za tak małą sumę obiecał wymalować. Tem żywiej więc napędzała go do ukończenia i pozbycia się «chybionego» obrazu, ażeby inny mógł zacząć, mianowicie jej własny portret w królewskim stroju. Za podobne obrazy, podług jej zdania, nierównie więcej dostać było można, niż za wszelkie Madonny owe i święte, których dość już się namalowano.

Niecierpliwsza niż kiedykolwiek ugodziła tragarzy i kazała zakonnice uwiadomić, iż obraz im odniesie, chociaż Andrea prosił gorąco, żeby mu zaledwie ukończony obraz zostawić jeszcze.

Usiadł zatem Andrzej del Sarto jeszcze raz przed Madonną swoją di San Francesco z cichą boleścią, zagłębiony w morzu myśli i w gorzkich wspomnieniach dawnego i obecnego życia. Nikt nie przerywał mu, jakaś staruszka tylko cichuteńko weszła i położyła dłonie na ramieniu jego. Były na świecie całym dwie ręce jedynie, których dotknięcie tak go wzruszało: ręce matki.

Powoli odwrócił głowę, żeby zanurzyć oczy w złoty strumień miłości płynący z źrenic macierzyńskich. Poczem wstał, podał jej krzesło i podnóżek i znów na stołku malarskim usiadł i patrzał na swą Madonnę.

Matka jego przychodziła codziennie, gdy Lukrecyi nie było w domu, dzieła syna swego oglądać i podziwiać. Rzadko wtedy wyrzekła słowo, od czasu do czasu tylko rzuciła na syna spojrzenie promienne miłością i gładziła niekiedy mu włosy.

Dla niego owa cicha obecność zawsze była słodką pociechą — widywał rodziców tak rzadko! W dzień zatrzymywała go robota, w wieczór Lukrecya pochlebstwem i prośbami lub dąsami i gniewem. Ojciec oddawna nie bywał w domu syna, gdzie synowa uchybiała mu ustawicznie, matka jednak odważyłaby się wejść do jaskini lwa, żeby swe dziecię zobaczyć.

Cicho było w pracowni Andrzeja, tak jak przed 25 laty w warsztacie ojca jego biednego krawca Michała Anioła Vannucchi, gdy mały siedząc obok matki na pół zakryty jej bufiastą suknią rysował w sekrecie, a pilny ojciec sądził, że się igłą zajmuje. Jak wtedy tak i dziś jeszcze czuł się zawsze niejako pod wyższą opieką, skoro matka, ten dobry anioł dzieciństwa jego przy nim była, to też gdy raptem Lukrecya stanęła na progu, spojrzał na nią prawie z wyrazem spokojnej wesołości, nie troszcząc się wcale o tryskające z ócz jej błyskawice gniewu.

Piękna kobieta w najgorszym była humorze. Zbliżywszy się do obrazu zaczęła w właściwy sobie sposób szyderczy mistrza łżyć i łajać, iż czas marnuje, malując Madonny do biednych klasztorów zamiast pięknych kobiet dla królów i panów, którzy obrazy takie w każdej chwili na uwagę złota nabyć byli gotowi. A jakby mu łatwo to przyszło — dodała — gdy model doskonały ma ciągle przed oczyma. Ale ona wie dobrze co go od tego wstrzymuje, oto starucha, która sądzi, że grzechem jest prześliczną kobietę malować.

---

niepotrzebnie z prozą Dra Jordana, a co najwyżej miałbym szanse zostania radcą miejskim. Wolałem przeto zacząć improwizację po raz trzeci, nie trzymając się już jednego rymu, ale mając zamiar w poważnym 13 zgłoskowym wierszu wyśpiewać «leżące na dnie duszy uczucia.» Za chwilę pierwsza strofa była gotowa:

Tam kędy Wisła toczy srebrnopiane fale
I cicho szemrze piosnkę o minionej chwale,
Kędy modra Rudawa tak się do niej tuli
Jak dziecię co na łonie spoczywa matuli,
Kędy biednego chłopka maluczkie dobytki
Z rąk do rąk wyrywają Kazimierskie żydki
Kędy ponad tłum wznoszą swą głowę Barany
Kwili miła «Reforma,» stęka «Czas» kochany,
Gdzie co drugi mieszkaniec jest jakimś do-
[ktorem,
Od piersi odstawiony bęben profesorem,
Kędy intelligencja trawi noce w szynku,
A Mickiewicz stać będzie przy pompie na
[rynku,
Gdzie z niezwykłym zapałem mówi się o
[Burgu,
Gdzie rajcy, którzy jeżdżą wąchać aż w
[Strasburgu —
Tam pewna instytucja żyje dość wesoło
Robi także co nieco, a zowie się «Koło.»

Dalej miałem opiewać prace Koła i jego zalety, a następnie sławić zacnego prezesa. Ale spojrzałem na zegarek: godzina 8-ma już dochodziła, a była to pora zasiadania do kolacji. Ze smutkiem przeto pozostawiłem dokończenie improwizacji na później i z wielkiem zgorszeniem członków mówki w tym dniu nie miałem.

Ale wracając do rzeczy spytasz się łaskawy wydawco dlaczego w tygodniu świątecznym nie napisałem kroniki? Otóż, szanowny dobrodzieju, naprzód «wesoły nam dzień nastał» — podczas Wielkiej-nocy zaś można jeść, pić, tańcować, chorować z picia i jedzenia, upić się, wytrzeźwić i znowu upić, zrujnować zdrowie i żołądek, chodzić, jeździć i skakać, oblewać się wodą, rozbijać jaja na rękawce, wybić zęby na Emausie, dostać się nawet «pod telegraf», ale pracować jak wiadomo stanowczo nie wolno.

A po Wielkanocy, «jeszcze weselszy nam dzień nastał»: przyjechał balet do Krakowa i to balet polski, dziarski, balet co umie tańczyć mazura i krakowiaka, aż się dusza śmieje i wycina hołupca. Nie dziw, że co żyje zapaliło się do baletu, że całe pierwsze rzędy foteli zasiedli siwowłosi starcy łechcący swój wzrok zakazanym dla nich owocem. Czyż mogłem wtenczas kronikę pisać?

Balet, najzacniejszy wydawco, stał się sztuką dopiero w końcu XVIII w. — a zaledwie w początkach bieżącego stulecia piękne tancerki zyskały sławę i uznanie. Całe rodziny (Vestris, Taglioni, Grisi), poświęciły się uprawie tego kunsztu i postawiły go na równi z innemi rodzajami sztuki. Czemże są obrazy malowane, wobec tych żywych obrazów, czem rzeźba marmurowa wobec tych rzeźb natury, co wabią wdziękiem kształtów i pozy? Czemże jest wysokie *cis* Mierzwińskiego wobec wysokiego *c* lub niskiego *d* pani Guzikiewiczowej? Jakaż harmonja spoczywa w nóżkach pani Lenczewskiej, co za styl w piruecie pani Żabczyńskiej, jaka miękkość

Ani syn, ani matka potoku słów jej nie wstrzymywali, przez co wpadała w coraz większą złość, lżyła obraz Madonny i żądała wytłumaczenia od małżonka dlaczego twarzy jej nie przeniósł na płótno.

Andrzej del Sarto spoglądał na nią z przerażeniem. Okrutną i straszną wydała mu się kobieta, którą zwał żoną swoją; ale gdy nagle przyskoczyła do matki i w ostrych słowach drzwi jej wskazała, pochwycił wówczas pędzel i paletę i stanął jeszcze raz przed sztalugą.

— Naprawię to com zaniedbał — rzekł — rysy twoje będą w obrazie Lukrecyo! jutro wieczorem pracę ukończoną tragarze odnieść mogą.

Gdy następnego wieczora tragarze weszli w towarzystwie Lukrecji cofnęli się ze zgrozą. Cóż za dziwaczny pomysł malarza! Krzyk wydarł się z ust ich przewodniczki!

Z pod stóp Madonny wynurzały się szkaradne głowy dwóch harpij, zeszpecone maski kobiecej twarzy, noszące rysy jego demona, odbite wiernie z oblicza jakie malarzowi przedstawiło się dnia poprzedniego. Od tej chwili wspaniałą Madonnę di San Francesco nazywają powszechnie Madonna delle arpie. O pięknej Lukrecyi del Fede zapewne nikt nie myśli, kto ze zdumieniem pełnem wstrętu odwraca się od owych poczwar szczególnych.

W kilka dni po przeniesieniu ulubionego swego obrazu do klasztoru Franciszkanek zdobył się Andrzej del Sarto na jedyny prawdziwie bohaterski czyn z życia — usłuchał bowiem próśb rodziców i mimo łez Lukrecyi na rok cały pożegnał ojczyznę i żonę. Udał się na wezwanie amatora sztuk pięknych, króla Franciszka, przyjaciela Leonarda da Vinci, do Francji, żeby zamek Fontainebleau freskami przyozdobić.

II.

W FONTAINEBLEAU.

Jakby z krainy mytów brzmią podania o pięknym rycerskim królu Franciszku [1]) i jego dworze w naszych trzezwych czasach, a obraz jego lśniący barwami w myśli wykwita eudem. W około wpływowej matki władcy, księżnej Ludwiki Sabaudzkiej, gromadzili się wtedy najdowcipniejsi poeci, księża, uczeni, alchemiści jakoteż znakomici rycerze pod dowództwem marszałka Montmorency, podczas gdy u nóg córki jej ślicznej lekkiej Małgorzaty poeci i śpiewacy tworzyli najwspanialsze wiersze natchnione czarem ócz uroczych, śmiechem srebrzystym, dźwiękiem głosu i gracją ruchow księżnej, za co z rąk jej odbierali nagrodę jak w czasach królowania miłości: łańcuch złoty, błyszczącą agraffę, kubek, szarfę koloru dostojnej pani lub różę, którą nosiła. Marot i Duchatel byli w czci tej reprezentantki najweselszego życia pierwszymi. Rój świetnych kobiet otaczał obie księżne jak grzęda kwiatów, a grupa malarzy, rzeźbiarzy, budowniczych cisnęła się w około wspaniałomyślnego opiekuna i amatora króla Franciszka.

Portrety Tyciana, które w lśniącym wspaniale kolorycie głowę króla oddają, pochodzą z epoki, gdzie życie już twarde linje w miękkich formach wypisało, kiedy rysy zaostrzyły się, a ogień pięknych ócz był bliski wygaśnięcia. Na czole widnieje głębokie znużenie, przesyt wszelkiemi uciechami ziemi, a wyraz gorzkiej wzgardy świata igra około ust, tylko wykwintna postawa niezależności, wspaniałe kształty, pozostały z owego króla Franciszka ubóstwianego przez kobiety, w którego ramionach Leonardo da Vinci wzniosłą duszę wyzionął, a którego Benvenuto Cellini najwspaniałomyślniejszym księciem artystów nazywał.

Wówczas r. 1519 był on jeszcze zwycięzcą z pod Marignano a nie więźniem z Pawii; przez królewską koronę przewijały się świeże listki wawrzynu. Wesoło i serdecznie jak przyjaciel bawił się z owymi najznakomitszymi artystami, którzy zebrali się przy nim, a jednak z godnością królewską. Żałoba i smutek po zaledwie co zgasłym Leonardo da Vinci spowodowały go do pomnożenia orszaku artystów, czuł potrzebę zapełnienia luki, dawania nowych zleceń i gromadzenia nnjsławniejszych imion w około siebie. Niedawno właśnie zaprosił malarza z Florencji, którego delikatność i ścisłość czysta zachwycały go, a koloryt tak żywo przypominał Leonarda da Vinci! Tylko jednę kobiecą głowę pendzla Andrzeja del Sarto miał przed sobą, a natychmiast powziął postanowienie, iż on tylko a nikt inny malować będzie przed kilkoma miesiącami urodzonego Delfina.

Jan Cousin właśnie dla swego dostojnego pana w Vincennes sąd ostateczny malujący, szkaradą postaci piekielnych uraził zmysł estetyczny króla, który przyzwyczajony do wspaniałych linij i harmonijnych tworów Vinciego, ostrych konturów i krzyczących farb znosić nie mógł. Dlatego rzadko ukazywał się w Vincenes; wolał raczej zagłębiać się z eleganckim Primatricem w różnorodnych planach nad rozszerzeniem swego ulubionego miejsca pobytu zamku, Fontainebleau, który wtedy dopiero zarysy późniejszej pysznej świetności okazywał.

Podanie niosło, iż leśne powietrze w Fontainebleau, wzmacniające szczególnie i orzeźwiające miało własności, z tego powodu królewskie dziecię Francji tu przeniesiono na lato. Z dzie-

[1] Dziada Henryka Walezjusza.

---

tonów i karnacja u pani Langowskiej. Taniec pani Guzikiewiczowej to istny poemat, pełen południowego żaru, to hiszpańska romanca, przechodząca w wspaniały dytyramb, będący wyrazem najwyższej ekstazy poetycznej. Czasami znów zdaje ci się, że tercyny Danta, lub sonety Petrarki pieszczą twoje ucho. A kiedy ujrzysz krakowiaka to mimowoli się pytasz: gdzież poeta, któryby tak napisał, gdzie muzyk, któryby tak zagrał, gdzie malarz, któryby wymalował tak krakowiaka, jak go na scenie zatańczą piękne balleriny.

Dlatego szanowny wydawco i redaktorze, podaję Ci myśl, którą należałoby podnieść w «Przeglądzie» Proponuję mianowicie założenie w Krakowie stowarzyszenia do uorganizowania i podtrzymania narodowego baletu. Byłby to czyn — jak mówi pan Tarnowski. Nie wątpię, iż ekscellencja Popiel stanąłby na czele komitetu, jako mecenas i znawca sztuki. Towarzystwo sztuki kościelnej św. Łukasza powinnoby przyjść z pomocą, gdyż nikt tak aniołów nie umie udawać jak baletnice. Towarzystwo sztuk pięknych mogłoby naruszyć swój fundusz pomnikowy, pomne, iż brak modeli stoi na zawadzie naszym artystom. Rząd sprzyjający krajowi nie odmówi swojej subwencji, a za pana marszałka ręczę w tym względzie. Komitet nadzorczy mogłaby stanowić redakcja «Czasu», posiadająca dużo koneserów w swem gronie. Obawiam się jednak, iż projekt ów, choćby dlatego, że przezemnie podany, zniweczą intrygi i zawiści stronnicze, lepiej przeto, abyś go, szanowny wydawco, podał wprost od siebie, nic o mnie nie wspominając. Obecnie w Krakowie wszystkie stronnictwa na jedno tylko się godzą, a mianowicie, iż pani Guzikiewiczowa jest ulubienicą publiczności. «Stało» tak w Czasie, w Reformie i w Gaz. Krakowskiej i to w jednym i tym samym dniu we wszystkich tych organach. Są więc jeszcze idee, które na wszystkie dudy jeden wpływ wywierają. Kto wie czy p. Guzikiewiczowa wybrana prezydentem nie umiałaby pogodzić zwaśnionych stronnictw i harmonją w stosunki nasze wprowadzić.

Widzisz więc redaktorze i wydawco, że kroniki napisać nie mogłem. Przeproś odemnie czytelników, baw się dobrze na «Weselu w Ojcowie», a jeźli możesz przyszlij mi a conto z jakie 20 papierków; bo klnę się na wszystkie solistki i koryfejki, że jestem goły jak święty turecki. Twój

K. B.

cięciem przybyła kobieta, o której na dworze mało lub wcale nic nie mówiono i którą w Fontainebleau uważano mniej jeszcze niż w Paryżu: Klaudya królowa Francji.

W najodleglejszym skrzydle zamku leżały apartamenta dostojnej pani, ale taras przed jej oknami ciągnął się daleko w prawdziwie nieskażoną ciszę leśną. Wchód do tego skrzydła był osobny; przeto królowa mogła bez przeszkody tak bezlitośnie na dworze wyszydzaną namiętność gromadzenia wokoło siebie dzieci zadowolić. Przynoszono też jej tu jak w Paryżu biedne i chore, zdrowe i piękne dzieciaki, a ona miała dla wszystkich łagodne wejrzenie, uśmiech litośny, pociechę, radość, pieszczoty.

Na dworze sądzono, że z urodzeniem Delfina upodobanie to zmieni się, lecz mylono się w przypuszczeniu. Zawsze jeszcze kraj nazywał królowę aniołem dzieci — zawsze matki płynęły do niej gromadą.

Rzadko jak w Paryżu tak w Fontainebleau król pojawiał się na pokojach małżonki, rozmawiał z nią przelotnie i nieuważnie, lub całował różowe paluszki syna; a przecież coś by blask słoneczny przesuwało się przez oblicze dostojnej pani, gdy rycerska jego postać ukazała się w progu; przecie wyraz ocz jej zdradzał wyraźnie, że odżyła w tej chwili, że kocha go nad wszystko, kocha więcej niż życie — więcej niż dziecię własne.

Naprzeciw zamku, na trawniku zielonym obchodzono jeden z tych festynów jakie wesoła Margareta lubiła urządzać. Damy dworskie miały wieńce świeże, kawalerowie ulubione kwiaty wybranek swoich, nadto bawiono się w rodzaj kwiatowej gry, która za czasów trubadurów była w użyciu.

Słonce zachodziło ciągnąc złotą zasłonę z gałęzi na gałęź, gdy król wstał na znak zakończenia uroczystości. Podał ukochanej serdecznie siostrze ramię i zaprowadził ją do zamku; galerja francuzka była otwartą, powinna ją oglądnąć. Mały orszak, a w nim wierny Duchatel cisnął się za obydwoma dostojnemi postaciami.

Na ostatnim stopniu terasy Margareta zatrzymała się chwilę, wyjęła ramię z ramienia królewskiego brata i odwróciła zdobną główkę za siebie. Małą rączkę podniosła do góry i rzuciła swawolnie różę w powietrze. Ale kwiat nie dosięgnął celu — figlarny wiatr ujął go i uniosł w bok, gdzie upadł u stop nieznajomego, wychodzącego właśnie w towarzystwie królewskiego sługi z przedsionka na taras. Był to mężczyzna, którego skromny strój odróżniał się rażąco od haftowanego złotem aksamitu dworaków; ciemne, dziwnie poważne oczy jego szukały króla, noga przydeptała nieuważnie różę z rąk Margarety: Andrzej del Sarto przybył do Fotainebleau.

W kilka dni później Florentyńczyk byłby poznał zaledwie skromnego malarza Madonny delle arpie w okazałej postaci, która się tak naturalnie w bogatym stroju w Fontainebleau poruszała. Król z zwykłą szczodrobliwością kilka aksamitnych szat kazał natychmiast dostarczyć nowemu pupilowi; mieszkanie wyznaczono mu w pobliżu francuzkiej galerji, stół z innymi artystami wytworny — książęcy. Jego młody towarzysz i pomocnik Andrzej Sguazello chodził jak oszołomiony i przysięgał, że nigdy do Florencji nie wróci.

Królowa matka jakoteż księżna Margareta przyjęły nader uprzejmie Andrzeja del Sarto i zasypały zaraz zleceniami. Pierwsza zamówiła pokutującego Hieronima, marszałek Montmorency młodego Tobiasza, a siostra królewska świętą familję. Pracownia jego pełną była dostojnych i znakomitych gości, którzy pragnęli widzieć go przy sztalugach. O portrecie Delfina nikt nie mówił.

Mijał tydzień za tygodniem, ale mimo najspokojniejszego życia, mimo najprzyjemniejszego zajęcia, uczucie tęsknoty wkradło się do serca malarza, myśli jego biegły ciągle i do ojca, do matki, a nawet do żony Lukrecyi. Nie wydała mu się już wykrzywioną i szkaradną jak owego wieczora, gdy harpie u podnoża Madonny malował, lecz poważną i piękną jak ongi w ogrodzie na Sapienza. Patrząc na śliczne twarze na około, nie widział żadnej, którąby mogła wytrzymać porównanie z jego żoną. Czasami przychodziła mu szalona myśl prosić króla, żeby go łaskawie uwolnił. Zdawało się mu, że dzień i noc iść musi do małego domku, który swoim nazywał.

Wśród nawału tych myśli przyniósł mu pomocnik jego rozkaz udać się do królowej Klaudyi, gdzie obraz Delfina miał być niezwłocznie rozpoczęty.

Sguazello śmiał się z poselstwa swego.

— Nie zazdroszczę wam tego wezwania Andrzeju del Sarto— mówił—piękna Margareta jest stworzona na królowę a nie ta druga, która zamyka się, żeby igrać z cudzemi dziećmi. Wszyscy poeci opiewają tamtą, wszyscy malarze robią jej portrety. Któż kiedy utworzył wiersz na cześć królowej Klaudyi. — któż obraz jej maluje?

— Któż wie — może ja, Andrzej del Sarto — odpowiedział malarz z uśmiechem.

Gdy Andrzej za sługą wiodącym go do królowej Klaudyi postępował, opanowało go szczególne uczucie naprężenia i oczekiwania. Zasłonę, która tę postać kobiecą całemu prawie dworowi zakrywała, on podniesie — oczy jego, jego jedynie ujrzą królowę, nie jako królowę, lecz jako matkę! Szedł przez długi szereg wspaniałych pokoi, przez niezmierzone kurytarze i schody koło służby i straży; w końcu wesoły dźwięk dziecinnych głosów obił mu się o uszy. Aksamitną portyerę uchylono i paź dał znak malarzowi do wejścia.

Cóż za obraz! Andrzej del Sarto znalazł się naprzeciw młodej kobiety, której blade wdzięczne oblicze było do niego zwrócone. Poważne ciemne oczy patrzały nań badawczo i pytająco Na łonie delikatnej postaci różowe dziecię leżało w lekkim stroju, drugie bawiło się u jej stóp, trzecie przytuliło się do kolan, czwarte wspięło sie na poręcz krzesła, przychyliło przez jej plecy i rzucało listki różane na dziecię spoczywające na łonie. Dwie kobiety stojące niedaleko z uśmiechem przyglądały się zabawie; były to matki igrających dzieci. Środkowa figura zaś owej czarującej grupy z aureolą najszczęśliwszego macierzyństwa na czystem czole była — Klaudya królowa Francji.

Dla malarza z Florencji na czas malowania portretu Delfina urządzono obok apartamentów królowej pracownię i wśród niespokojnego gwaru, wśród wysoko bijących fal świetnych uroczystości, powstała zielona wyspa cichego, słodkiego spokoju.

Andrzej del Sarto widywał królowę codziennie godzinami całemi a nić tajemnego obopólnego cierpienia łączyła serca coraz bliżej. Nie mógł przed nią ukryć swej ciężkiej tajemnicy, musiał mówić o domu, o Lukrecyi del Fede, wiernej matce, o ojcu starym i przyjaciołach, którzy go opuścili z powodu żony. Nie żalił się, opisywał tylko swe ciemne życie, a oczy jej opowiadały to samo. Oczyma także pocieszała go, słów nie używając. One również były niezbadanie smutne i tylko gdy padły na dziecię zapalały się w nich lśniące światła najszczęśliwszej radości. Czasem Andrzej del Sarto na życzenie dostojnej pani musiał zatrzymać się i wytchnąć, wtedy kazała przyjść swemu małemu dworowi— dzieciom różnego wieku i pokazywała im portret Delfina, a ciche atelier rozbrzmiewało znowu słodkim śmiechem i wykrzykni-

kami wesołemi. Anprzej del Sarto klęczał obok pąsowej aksamitnej poduszki, na której królewskie dziecię ułożono, dozwalał sobie targać wspaniałą brodę, bawił się z swobodną drużyną i stał się sam dzieckiem. Jakże rozwiewał się ból jego w owych chwilach, a sercu jakże wzrastały skrzydła!

Lecz coraz niebezpieczniejsze stawały się myśli jego, a marzenia szczególne przybierały kształty. Zdawało mu się niekiedy, gdy stał przed sztalugami, malując śliczne dziecię i oczy podniósł na ową kobietę, która tam przy oknie w głębokiem krześle siedziała, że jest u siebie w domu. Zapomniał o Florencji i Lukrecyi del Fede, zapomniał, że istnieje pyszny zamek w Fontainebleau. Dla niego był to tylko mały domek w zielonym tajemniczym lesie, z jasną cudownie piękną pracownią, a owa wątła [illegible] prostym stroju, z delikatną uroczą główką, bo- [illegible] których fali złote połyski drżały, własnością [illegible] wstrząsł się przestraszony własnemi myślami.

Ale dnie przeszły jak sen i pora ukończenia obrazu zbliżała się równocześnie z odjazdem królowej do Paryża.

I jednego poranku widziano tłum ludzi tam i napowrót przesuwający się po schodach do galerji francuskiej, gdzie wystawiono portret królewskiego dziecięcia; wszyscy cisnęli się do oglądania malowidła. Cóż za wzorowy rysunek! i wspaniałe wykonanie, jakiż gorący koloryt, jakie cienie przejrzyste, jaka gracya i słodki wyraz! Król był zachwycony. Darował mistrzowi 300 scudów i wyznaczył mu znaczną pensją. Z pobliża i z daleka płynęli chciwi widzenia arcydzieła; zapewniano, że nie oglądano nic podobnie delikatnego, gorącego i zwano Andrzeja del Sarto najgodniejszym następcą Leonarda da Vinci.

Nim królowa Klaudya wróciła z Delfinem do Paryża, urządziła na tarasie zabawę dla dzieci. Lecz na niej ukazała się w pełnym stroju władczyni Francji, otoczona licznym świetnym orszakiem; cały dwór był zebrany, tworząc różnobarwnymi szaty wspaniały widok. A jednak Andrzej del Sarto widział w niej tylko tkliwą matkę, z bladem obliczem, noszącem ten sam wyraz, który go tak często zachwycał. Gdy pod czerwono-aksamitnym baldachimem siedziała z synkiem na rynku i to jedno, to drugie dziecię kazała sobie podawać, żeby je popieścić i pożegnać, nie było nikogo w zgromadzeniu ktoby wzruszającym charakterem jej piękności nie był zdumiony.

Owego dnia rozstał się Andrzej del Sarto z tem dla wewnętrznego swego życia pełnem znaczenia kobiecem zjawiskiem, ażeby je na ołtarzu serca uwielbiać po wszystkie czasy. Pojedyńczy pierścień złoty, który nosiła na palcu, darowała mu królowa w chwili pożegnania, a usta jej rzekły:

— Oby wam święci użyczyli tak słodkiej pociechy i jasnego światła jak mnie, dając wam dziecię, któreby was kochało. Do widzenia! Andrzeju del Sarto!

Gdy królowa Klaudya opuściła Fontainebleau, powstał w malarskiej pracowni Florentczyka najwięcej porywający z dzieł jego, jakby odezwa podziwienia, obraz najczarowniejszej ziemskiej miłości macierzyńskiej: Caritas.

Było to zupełne odszkicowanie pięknej kobiety, która dwoje dzieci trzymała na łonie, podczas gdy trzecie u stóp jej spało na rozpostartym dywanie. Głowa tej ziemskiej Madonny miała jaśniejące niebiańskiem szczęściem rysy królowej Francji.

POBOŻNY EPIKUREJCZYK.

(„Deo Gratias“ d'un Epicurien).

Kiedy świat jest tak zepsuty,
W więzach bezbożności skuty,
Że z pokory człek wyzuty,
Pełen pychy, pełen buty
Nie chce modłów Niebu nieść. —
Ja gdy zjem objadek suty,
Lichem winem niezatruty, —
Wnet odpalam te zarzuty,
Skoro na pobożne nuty,
Całem sercem mem odczuty
Spiewam hymn mój: „Chwała! cześć!“
„Cześć Ci, dobrotliwy Boże,
„Żeś mi dał stan zdrowia taki,
„Iż zwierzynkę, trufle, raki,
„Człek obficie zjadać może
„Byłem zawsze mógł tak jeść,
„Będę śpiewał na twą cześć...
„Będę śpiewał jak najęty:
„Swięty, święty, święty!..“

Smieszy patrzeć na sąsiada,
Co to za figura blada,
Jak on mało pija, jada!..
Biedny człowiek! on powiada,
Że nie może wina znieść!
I dowody tego składa,
Bo gdy dno kielicha zbada, —
Wnet migrena go napada,
Więc nie pije — trudna rada!
Mnie nieznana rejterada!..
Za toż składam niebu cześć:
Cześć Ci miłosierny Panie,
Że tak łatwo tnę puhary!..
Szampan, Bordeaux, Węgrzyn stary —
Pić jednako jestem w stanie,
Wszystko łatwo mi jest znieść!..
To też śpiewam na twą cześć,
Dobrem winkiem mile wzdęty:
Swięty! święty! święty!..

Inny sąsiad znów — z zazdrością
Sledzi wciąż za swą jejmością...
Zle jest z jego spokojnością,
Bo to stanie w gardle kością —
Zamknąć dom na kłódek sześć!
I tak śledzić z troskliwością
Za małżonki swej wiernością!..
Ja mam żonę, co miłością
Darzy wszystkich z uprzejmością, —
Lecz mię to nie wzdyma złością, —
Owszem bawi... A więc cześć
Składam Tobie, dobry Boże,
Żeś mi spokój dał domowy,
Że nie mąci mojej głowy,
Myśl, że jejmość tak jak może
Bawi się, by nudę zgnieść!..
Co mi tam!.. Ja na Twą cześć
Spiewam, ciszą lubą zdjęty:
Swięty! święty! święty!..

Pewien dobry mój znajomy
Dostał tylko raz oskomy,
Gdy w balecie ujrzał gnomy,
Co nóżkami kreślą komy...
Raz na scenę zechciał wleść, —
I wnet padł jak z góry stroméj:
Surowa matrona Romy,
Co mu dała w posag domy,
Ciska mu na głowę gromy!..
Ja choć kulis znam załomy,
Żona milczy mi... Więc cześć
Tobie, o wszechmocny Panie!
Że choć jestem dosyć skory
Do kapłanek Terpsychory,
Nie znam, co żony gderanie!..
Ja jej nie chcę w drogę wleść,
Ona mnie... Ja na Twą cześć

Spiewam, wdzięcznością przejęty:
Swięty! święty! święty!..

Czasem za biesiadnym stołem
Widzę, że ktoś z chmurnem czołem
Nie śmieje się zemną społem
Tylko oczy spuszcza dołem,
Nie chcąc się do gwaru wpleść...
Ja rozmowy ster objąłem,
Jak z rękawa śmiech sypnąłem, —
Nie!.. Czy smutku jest aniołem
Ten jegomość? A, pojąłem!..
To stworzenie jest dziś gołem!..
Za to ja mam pieniądz! Cześć,
Cześć Ci, szczodrobliwy Boże,
Że ja nie znam się ze smutkiem,
Który jest golizny skutkiem...
Że mię dotknąć to nie może,
Co tak bardzo trudno znieść!..
A więc śpiewam na Twą cześć,
Gdy pulares mam wydęty:
Swięty! święty! święty!..

Nudzi mię ten człek ponury!..
Boję się z nim awantury:
Tacy ludzie to są gbury:
By rozpędzić smutne chmury —
W cudzą kieszeń mogą wleźć!..
Ja — mam pchać w bezdenne dziury?..
Niechaj tłucze łbem o mury!..
Na to stoi się u góry,
Aby strzedz swej własnej skóry!..
Przykry widok tej figury
Zwiększa tylko moją cześć,
Moją dla Cię wdzięczność, Panie,
Za ten mój charakter złoty,
Z którym dary Twe — banknoty
Trzymać mocno jestem w stanie,
Gdy kto pragnie mi je zmieść!..
To też śpiewam na Twą cześć,
Żadną troską niedotknięty:
Swięty!.. święty!.. święty!..

Z Berangera, **L. Kozłowski.**

TRZYNASTU.

(Treize à table).

O Nieba! Trzynastu do uczty nas siadło, —
A tu rozsypała się sól!
Fatalne to wróżby! Aż czoło mi zbladło,
Bo ziarno złych przeczuć w pierś moję zapadło,
A w serce i trwoga i ból...
Smierć do nas zawita! Smierć, moi panowie!
Czy też nie przejmuje was strach?
Smierć z kosą, z ognistą równianką na głowie,
Z piorunną źrenicą. Niechaj każdy z nas powie:
Nie takąż oglądał ją w snach?
Nie truchlał, że każdy, gdy mary straszliwej
Wzrok czarny w pierś jego się wwierci?
Lecz... były to mrzonki chorobne... Prawdziwej,
Panowie, nie bójmy się śmierci!..

Bo patrzcie: przybywa na naszą biesiadę,
Jak gdyby wesoły jej gość!
Oblicze jej jasne, łagodne, choć blade,
Uśmiechem miłości promienić się rade,
Nie grozę rozsiewać i złość...
Na czole ma wieniec z barw tęczy utkany,
Nad czołem srebrzysty lśni blask...
Przynosi nam w darze skruszone kajdany
I kwiat lilijowy litości łzą zlany —
Zadatek wieczystych jej łask...
Dziecinę uśpioną do łona przyciska,
A czułość w jej wzroku i słowie...
Nie psujmy więc uczty, choć śmierć do niej bliska
Nie bójmy się śmierci, panowie!..

„Dlaczegoż mój widok“ — powiada mi ona —
„Ma wzbudzać obawę lub wstręt?
„Jam Niebios jest córą, ma siostra rodzona —
„Nadzieja, toż wasza ucieczka, obrona,
„A ja wszak wybawiam was z pęt!..
„Niewolnik narzekać na tego czyż może,
„Kto wolność szeroką mu dał?
„Kto dnia promiennego pokazał mu zorze,
„Kto odkrył mu światów niezmierne przestworze
„I z czoła myśl czarną mu zwiał?..
„Upadły aniele! Jać skrzydła przyniosę
„Z piór srebrnych miast ziemskiej tej sierci,
„Ożywczą wyleję na czoło twe rosę...“
Panowie! nie bójmy się śmierci!

„Powrócę—śmierć kończy,—powrócę do Ciebie—
„I wzleci naonczas twój duch,
„Co nurza się dotąd w tym ciemnym Erebie
„Do wszystkich tych światów, co lśnią tam na niebie
„W mirjadach jak śnieżny ów puch...
„I zwiedzisz naonczas te globy ogniste
„I szlaki płomiennych tych mas,
„Któremi Bóg znaczy swe myśli wieczyste,
„Swe wielkie zamiary, dziś dla was tak mgliste
„Jak wieczność, jak przestrzeń, jak czas!
„Powrócę, lecz pokąd was jarzmo przygniata,—
„Ulżyjcie ciężaru swej głowie:
„Na skrzydłach wesela niech myśl wasza wzlata!“
Nie bójmyż się śmierci, panowie!

Zjawisko już znika... wciąż, wciąż się oddala,
Aż wreszcie rozpływa się w mgle...
Panowie! i kogoż od śmierci ocala,
Że człek się nad końcem swym smutnym użala
I tysiąc złorzeczeń mu śle?
Nie lepiej że męską w grób patrzeć źrenicą
Przed trumną nie cofać się w tył?
Łódź życia niech fale na barki pochwycą,
My z piosnką na ustach, z otwartą przyłbicą,
Do portu w niej pędźmy, co sił...
Wszak smutkiem podróżny w swej drodze ku miastu
Nie skróci ni mili, ni ćwierci...
Weseli więc bądźmy przy uczcie w trzynastu!
Panowie! nie bójmy się śmierci!..

Z Beranger'a **L. Kozłowski.**

Z MIŁOŚCI.

BALLADA, JAKICH WIELE.

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

Ciąg dalszy.

Nie ciężyła mi także praca. Terenkoczy był pobłażliwym zwierzchnikiem; nie naglił do roboty, nie zrzędził, nie nalegał. Uciesz się z żoną, mawiał; gdy się nasycisz słodyczami miłości dogonisz, co zaniedbałeś.

W domu nie byłem nigdy narażony na sceny nieprzyjemne Ukochana moja nie nudziła mnie mimo swej wyczytanej gdzieś praktyczności opowiadaniami o stłuczonych garnkach, o przypalonej zupie itd., bo wiedziała tyle o kuchni, co ja. Gospdarował

Tramp z kucharką, zadowolony, że nie potrzebuje marznąć u przy teodolicie. Słyszałem czasem przez drzwi, jak stroswą podwładną za jakąś szkodę wyrządzoną, lecz cóż mnie ɔgło obchodzić? Rozbiła garnek? Niech rozbije drugi! Kua drogo mięso lub rybę? Któżby się tam troszczył o takie ostki. Daremnie przekładał mi Tramp, że z groszy robią ary.

— Daj mi święty pokój — ofuknąłem skrupulatnego pocz-

[moja najdroższa żoneczka była zaraz przy pierwszej spošci tego samego zdania. Gdy podano obiad na stół, wie. co przyrządzono; gdy zniszczono jaki sprzęt, kazała spro: inny i na tem koniec.

Cóż-bo miała robić? Może chodzić na targ, jak żony niemmoże zaglądać do kuchni, przyrządzać potrawy, brząkać dzień kluczykami u pasa fartuszka, a wieczorem cerować ę? Zgrozo! Nie byłbym przyłożył tych białych, miękkich do ust, gdyby się były oczerniły sadzami, lub pokłuły Ioja żona nie powinna być gosposią germańską, która trąci ami. Pospolita praca zaciera wdzięk, rozwiewa kobiecość, i piękności.

ak gdyby młoda małżonka nie miała dosyć innego, waego zajęcia. Cóżbo może być dla niej ważniejszem nad... ınie męża?

całowaliśmy się przynajmniej tysiąc razy na dzień, rano, ıdnie, wieczorem, przy śniadaniu, przy obiedzie, przy herw domu, na przechadzce, a nawet przy pracy w polu, mnie czasem moja żoneczka odwiedziła, gdy mi się za› zobaczyć, co się też dzieje na linji.

Czasem siadła Jadwinia do fortepianu i wygrywała mi odą *«la prière d'une vierge»*, a mnie sprawiał ten koncert domoęcej przyjemności, niż popisy najznakomitszych wirtuozów. Jajczęściej, wracając od pracy, zastawałem moją ukochaną ką w salonie. Czytała sobie powieść podczas mej nieoci. Cóż-bo miała innego robić? To samo czyniła jej matka, yła młodą, to samo jej kuzynki i rówiennice. Rozumiało samo przez się.

Ach, myśmy się wtedy tak gorąco kochali! Mogliśmy paıa siebie przez całe godziny, nie męcząc się jednostajnodoku. Miljon razy przekonywałem się, czy Jadwinia ma oczy, czy też czarne; codziennie splatałem i trefiłem jej :zne włosy, przykładając je do ust, do twarzy.

Iyśmy się wtedy tak bardzo, bardzo kochali...

X.

Coś zaczyna się psuć w małem krolestwie mojem. Coby to być? Jestem przecież najszczęśliwszym śmiertelnikiem na :mskiej.

uż minął rok od chwili, kiedy mi Jadwiga przysięgła przed ı i całym światem dozgonną miłość na stopniach ołtarza :wiowego kościółka polskiego, a dotąd nie przesunęła się ırach naszego pożycia ani jedna, choćby najlżejsza chmurdnostajnie pogodny błękit rozpiął się nad głowami naszemi dotąd, cichy, ciepły, promieniejący w blaskach gorącego ązania. Nie podniosłem przez cały ten czas ani razu mego v obecności żony, ani razu nie sfałdowało się czoło moje, ągnęły się brwi, nie drgnęły usta. Szliśmy przez całe dwamiesięcy obok siebie równo, jak dwa dobrze ujeżdżone ; płynęliśmy raczej miękko, wdzięcznie, niby para łabędzi, wająca bez szelestu, bez śladu srebrzystą powierzchnię spoo jeziora.

Raz tylko jedyny miotał mną niezwykły, gorączkowy niepokój. Ale trwało to krótko. Jadwinia podniosła się z łoża boleści, rozkwitłą, zdrową, pełniejszą niewiastą, a z kołyski uśmiechał się do mnie czarnooki cherub — syn, mój syn. Robotnicy huknęli znów: hurra! aż się domek zatrząsł w posadach, a Terenkoczy, ojciec chrzestny mego pierworodnego, upił się za mnie i za matkę.

Po tym wypadku zrobiło się w gniazdku naszem weselej. Przybyło nam dzieciątko i jego niańka. Jeszcze serdeczniej, jeszcze namiętniej objąłem Jadwinię. Byliśmy niewymownie szczęśliwi.

A jednak...

Coś zdaje się psuć w małem królestwie mojem. Dotąd nieopatrzny, nie troszcząc się wcale o jutro, pochylam teraz czasami głowę, lub opieram ją na dłoni, gdy siedzę w biurze, zajęty przenoszeniem projektów z brulionu na karton. Skończyliśmy już w polu wszystkie pomiary i niwelacje i zabraliśmy się do wygotowania planów i do obliczenia nasypów.

Siedzimy z Terenkoczym w jednym pokoiku. On rzuca od czasu do czasu cyrkiel i ołówek, podnosi się z krzesła i przechodzi się wielkiemi krokami po kantorze, mrucząc z gniewu pod nosem: nie dla mnie praca urzędnicza! Po chwili jednak wraca na swe miejsce i rysuje dalej.

I ja składam od czasu do czasu cyrkiel, ale nie wstaję, tylko patrzę przed siebie na długą kolumnę cyfr i milczę. Jakoś mi się liczby nie kleją. Dwa a dwa jest pięć; nie — dwa a dwa tworzy trzy; gdzież tam — nic nie rozumiem; pocieram czoło, zapominam o szeregach cyfr i myślę o zupełnie czem innem. O czem?

Liczby mi się... nie kleją, niestety. Od kilku tygodni odbieram z wszystkich stron rachunki, jak gdyby się kupcy zmówili. Napomina mnie stolarz, krawiec, szewc, rzeźnik; winien jestem od kwartału za komorne; nie mogłem w tym miesiącu zapłacić pensji lokajowi. Co to się stało? Przez cały rok szło wszystko, jak z płatka, — a teraz odmawiają mi nawet koledzy pożyczki. Terenkoczy zdjąłby z siebie ostatnią koszulę, aby mnie w nią przyodziać, lecz wstydzę się prosić go o pomoc. Dał mi już tyle...

On mi się ciągle z boku przypatruje. Ilekroć się zadumam, czuję na sobie jego bystry, badawczy wzrok. Ale ja milczę, więc i on się nie odzywa.

Pewnego razu rzucił znów cyrkiel na stół, że się końce narzędzia zagięły i zaczął kląć po węgiersku, aż mnie mrowie przechodziło. Teremtete, terrrrrem... tttete...

Nagle przystąpił do mnie i położywszy swą dłoń na mojem ramieniu, wyrzekł:

— Spójrz na mnie!

Uczyniłem, jak rozkazał, odwracając do niego zamyśloną twarz.

— Ciebie toczy od kilku tygodni jakiś robak. Mów co ci jest — mruknął.

— Mow — nalegał.

— Rachunki kasowe...

Nie mogłem myśli dokończyć. Nieznany dotąd wstyd ścisnął mnie za gardło.

— Przestały się u ciebie zgadzać. Wszakże tak? — odpowiedział kolega.

Skinąłem lekko głową, potwierdzając tym ruchem jego domysł.

On zdjął swą rękę z mego ramieuia i zapatrzył się w szyby okna. Po chwili odezwał się:

— Rachunki twoje nie zgadzały się już od pierwszego dnia po powrocie z żoną.

Podniosłem głowę zdziwiony jego słowami.

— Nie wierzysz? — mówił kolega. Jako inżenier powinieneś umieć liczyć, więc licz. Pobierasz 2 talary dziennie dyet i talara kosztów podróży, czyli razem 90 tal. na miesiąc. Za mieszkanie płacisz 25 tal., kucharce 5, lokajowi 10, czyli razem 40. Ile wydajesz dziennie na dom?

— Dwa talary.

— Czyli 60 miesięcznie, a z poprzedniemi 100. No?..

Rzeczywiście, rozchód mój nie zgadza się z dochodem.

— Nie koniec na tem — prawił Terenkoczy. Ponieważ ci żona nic nie wniosła, musiałeś sam dom urządzić. Wprawdzie nie płaciłeś przez cały rok rat w składzie mebli, ale dług nie ulotnił się, nie uszedł; długi nie są zającami, one czekają cierpliwie. A krawiec, szewc, cygara, wino, gazety, książki; a niańka, która ci przybyła od trzech miesięcy? Gdy to wszystko policzysz, wypadnie ci bardzo znaczny deficyt, który pokrywałeś dotąd pożyczkami. Przekonałeś się jednak, że ludzie wierzą tylko do pewnego czasu, co bardzo naturalne. Straciłeś kredyt, nie czyniąc zadość zaciągniętym zobowiązaniom.

— Wiesz przecie sam najlepiej o tem, że nie rozrzucałem pieniędzy, że żyliśmy jak najskromniej — zawołałem, zaniepokojony ścisłością rachunku.

— Nie o to idzie, jak żyłeś, lecz o to czy miałeś na to, aby tak żyć, jak żyłeś. Liczby dowodzą ci, że nie masz nawet na skromne utrzymanie. Nie robiłeś rzeczywiście żadnych wybryków; wydawałeś tylko to, co musiałeś koniecznie jako człowiek wykształcony i dobrze wychowany, bo pominąwszy lokaja, którego nie potrzebujesz, nie możesz z budżetu swego wykreślić ani jednej pozycji. Wiem o tem. Mimo to jednak wydałeś więcej, niż mogłeś.

— Chodzę w jednem ubraniu, Jadwinia nie stroi się także— broniłem się.

Terenkoczy zrobił ręką niecierpliwy ruch.

— Wiem, wiem — mówił. Nie zawiniłeś ani ty, ani twoja żona.

— Więc któż? — zapytałem.

— Kto? Społeczeństwo, które nie wynagradza odpowiednio pracy naukowej, bogacąc pierwszego lepszego szachraja. Każdy kupczyk ma więcej dochodów, aniżeli my, którzyśmy chodzili 20 lat do szkoły, i włożyli w fach swój znaczny kapitał.

— Musi być inny powód, bo nasi koledzy nie mają większych pensyi i nie skarżą się — wtrąciłem.

— Nasi koledzy są niemcami. Żony ich chodzą same na targ, gotują, prasują, nie mają nianiek, jedzą z dziećmi kartofle z śledziem, aby mąż mógł wieczorem wypić kilka kufli piwa. Nasi koledzy żyją jak wyrobnicy, a żony ich jak kucharki. Chciałżebyś ty, aby twoja żona była twoją sługą?

— O, nie, niech mnie Pan Bóg broni — zawołałem, zbladłszy na samą myśl takiego stosunku.

— Czybyś ty mógł w restauracji zjadać befsztyki i pijać piwo, wiedząc, że żona twoja karmi się w domu polewką z ziemniaków lub z kaszy? Czybyś ty mógł rozprawiać w knajpie o polityce, wiedząc, że twoja żona traci w domu wzrok nad cerowaniem pończoch, lub marnuje życie w kuchni i w pralni?

— Jak możesz nawet przypuścić?

— A oni czynią tak wszyscy. Żaden polak ani węgier nie byłby zdolnym do takiego samolubstwa. Trzeba się w takich pojęciach urodzić i wychować, aby ich nie nazwać nikczemnemi. Podrzędnemu stanowisku kobiety zawdzięczają nasi koledzy niemcy, że wiążą koniec z końcem, a nawet, że robią oszczędności.

Zamilkł, zapatrzył się znów w szyby okna, a na czoło moje wystąpił zimny pot.

Po chwili mówił dalej.

— Czy pamiętasz, co ci kiedyś mówiłem o okolicznościach zewnętrznych? Może mnie teraz rozumiesz.

Zrozumiałem go bardzo dobrze, o zanadto dobrze. Świadomość położenia zaryła się w mózg mój pazurami drapieżnego ptaka.

— Tak, te przeklęte okoliczności zewnętrzne złamały już niejedno serce, stargały niejeden żywot. Ale gdybym ci był przeszkadzał w Warmbrunn, byłbyś mnie znienawidził, może zabił. Czemże bowiem troska o byt wobec hymnu miłości? Chleb jest rzeczą tak nędzną, tak poziomą, a miłość uczuciem tak wzniosłem, tak szczytnem!

Zaśmiał się gorzko, a śmiech ten uderzył mnie w samo serce, ostry, jak obosieczne żelazo.

Załamałem ręce i zawołałem:

— I cóż mam robić?

— Co? Tymczasem pożyczę i dam ci tyle pieniędzy, ile potrzebujecie, bo nie straciłem jeszcze kredytu, a ty odpraw lokaja, zapłać za meble i staraj się ograniczyć swe wydatki. Może wygrasz na loterji, może ci podwyższą pensją, może, może... nie wiem — co. Tylko przypadek może cię ocalić, bo naturalny rozwój obecnych danych musi cię strącić w przepaść.

Odwrócił się odemnie. Widziałem, że siedział długo nad kartonem, nie biorąc cyrkla do ręki.

A mnie pochwyciła jakaś zmora za piersi i tłoczyła ją niemiłosiernie. Zdawało mi się, że się uduszę w tym uścisku.

Powietrza, powietrza!..

XI.

— Żegnajcie mi, żegnajcie, serca mego najbliżsi! Niech szydercza rzeczywistość nie spłoszy śmiechem swym nigdy anioła miłości, który miękkie skrzydła rozpiął nad waszą strzechą; niech troska o chleb powszedni nie zmąci spokoju, wiejącego po nad śladami stóp waszych; niech wam Bóg dobrotliwy oszczędzi pospolitych łez i smutków tej ziemi. Bądźcie szczęśliwi, o bądźcie szczęśliwi!

Pochylił głowę, splótł ręce na piersiach, utopił wzrok w szklance, stojącej przed nim pełnej złocistego płynu.

Na dworze łomotał wicher północny, szybując po równinach Prus Wschodnich, jakby pomykał po niezmierzonych wodach morza Bałtyckiego, z którego przyszedł. Spotykając po drodze przeszkody, rozpryskiwał się z świstem o domy, stukając do okiennic, dzwoniąc w szyby. Czasem zawył w kominie przeciągle, złowieszczo, cofając się przed ogniem, którego się nie spodziewał.

— Żegnajcie mi, żegnajcie — powtarzał Terenkoczy z cicha.

Na kredensie dudnił samowar, napełniając salkę jadalną tą cichą, serdeczną melodją, której urok odczuwa się dopiero wtedy, gdy pora zimowa skupiła ludzi wokoło ogniska rodzinnego.

W pokoju rozlegała się cisza. Nawet syn mój, czteromiesięczny Witołdek, milczał, przypatrując się z kołyski swemu ojcu chrzestnemu wielkiem, zdumionem okiem. Zwykle bawił się z nim Terenkoczy, strasząc go wąsami, śmiejąc się głośno, a dziś mówił przytłumionym głosem, nie przywitawszy się z swoim pieszczochem. Malca to może zdziwiło...

Terenkoczy opuszczał nas. Przyszedł rozkaz z Berlina, aby się przeniósł na drugi skraj Niemiec, do Westfalji. Pracownikowi nie wolno się opierać. Kazali, więc musi.

A on się do nas tak przywiązał. Stary hulaka zapomniał o winie i kartach, o wesołych towarzystwach i różnych wybrykach i przepędzał prawie każdy wieczór z nami; to grając z Ja-

dwinią na cztery ręce, to ze mną w marjasza, a później bawiąc się z Witołdkiem. Było mu z nami dobrze.

Było mu dobrze i w polu, przy pracy. Robotnicy kochali nas, jak starszych braci, jak przyjaciół. Nie wytrąciliśmy im nigdy ani grosza z zarobku, nie karaliśmy ich, pobłażając, gdy który z nich zaniemógł. Chorym, nieobecnym liczyliśmy każdy dzień, uboższym dawaliśmy zapomogi, a pracowitym nadzwyczajne wynagrodzenie. Nie przeciążaliśmy ich pracą, urządzając się sami wygodnie, a w każdą sobotę wypijaliśmy z nimi w karczmie kieliszek wódki, gdy sobie po wypłacie urządzali «dzień wesoły». Każdy też z nich byłby się pozwolił w naszej obronie zarąbać.

Obcy, na dalekiej północy zwyczajami i pojęciami, trzymaliśmy się zdala od filistrów małomiejskich, wytworzywszy sobie osobne państewko, składające się z kilkuset robotników, z których znaczna część przyszła za nami z dawniejszych linij. Resztę stanowili ludzie różnych stanów i zajęć: awanturnicy, bankruci, więźniowie, wypuszczeni z domów karnych i różna inna hołota. Cała ta gromada trzymała się kupy, uznając w nas swych naturalnych przywódców. Myśmy rozsądzali ich spory, załagodzali ich kłotnie, wymierzali im sprawiedliwość, a oni poddawali się wyrokom naszym bez szemrania. Wyjeżdżaliśmy w pole bez czapek i płaszczów mundurowych, bez rewolwerów, pewni, że nas nie spotka żadna przygoda, które się na innych linjach dość często zdarzały.

Terenkoczy zżył się już z tem państewkiem, ukochał je, a musiał je rzucić, bo mu tak kazano.

Długo milczał, spoglądając przed siebie; nagle wstał, zbliżył się do kołyski, a zdjąwszy z siebie wszystkie kosztowności: zegarek, szpilkę brylantową, pierścień z dyamentem, a nawet złote spinki, tkwiące w mankietach, złożył całe swe mienie synowi mojemu pod poduszkę, mówiąc:

— Weź tymczasem od swego ojca chrzestnego tę drobną pamiątkę, a gdy dorośniesz, spytaj się o mnie i poszukaj mnie.

Chłopczyk wyciągnął rączki, chwytając Terenkoczy'ego za wąsy. On pochylił się nad nim, szepcząc pieściwym głosem rozkochanej w swej dziecinie matki: mój ty aniołeczku.

Potem wyprostował się i zarzucając na siebie płaszcz ucałował szybko ręce Jadwini, mnie uściskał i wybiegł z pokoju.

Na dworze niecierpliwiły się już konie pocztowe. Trakeny wspinały się, rżały, biły kopytami w bruk ulicy.

Gdy staliśmy przed progiem domu, ujrzeliśmy kilkaset czerwonych świateł, a równocześnie odezwał się z wszystkich stron rzewny śpiew. To robotnicy żegnali swego naczelnika starodawną pieśnią niemiecką, kończącą się po każdej zwrotce skargą: *scheiden thut weh!*

Rozłąka boli, a jedyną jej pociechą, że zawiera w sobie nadzieję powrotu. Wróć do nas, wróć — wołali robotnicy, a na dnie wrzawy, która się wybijała ponad miasteczko, drżał żal za odjeżdżającym. Czułem, że ci ubodzy ludzie wołali szczerze: wróć do nas! Czuł to i Terenkoczy, bo obejrzał się po zgromadzonym tłumie, potem westchnął i dotknął końcami palców powiek, jakby coś pod niemi rozcierał.

Skoczył do powozu, chciał ruszyć z miejsca, lecz wtem przypadło kilkunastu ludzi. W mgnieniu oka odprzężono konie. Kareta posuwała się wolno, ciągnięta przez robotników, poprzedzona całą armją, która szła w dwóch rzędach w porządku wojskowym, rozświecając ciemności wieczoru styczniowego pochodniami.

Tłum szedł, śpiewając: rozłąka boli! przeplatając każdą zwrotkę głośnym chórem: wróć do nas, wróć! Całe miasto wyległo na ulice, przerażone niezwykłym hasłem.

Ja wyrwałem najbliższemu robotnikowi pochodnię z rąk i powlokłem się za korowodem.

Tak, wlokłem się, bo zdawało mi się, że idę za pogrzebem. Dziwnie ciężki smutek ogarnął mnie, pochylając skroń moję ku ziemi. Czułem teraz i ja wagę słowa: pożegnanie.

Za miastem wprzężono znów konie.

Terenkoczy stanął w powozie, uchylił czapki i zawołał:

— Żegnajcie mi!

— Wróć, wróć! — rozlegało się wokoło.

— Polecam opiece waszej mego przyjaciela, inżeniera Śliwińskiego!

— Niech żyje inżenier Śliwiński!

— Jedź!

Pocztyljon uderzył z bata, i trakeny poszły, jak wicher tonąc za chwilę z powozem w obsłonach zapadającej nocy.

Robotnicy pogasili światła. Zrobiło się smutno i ciemno za miastem i w sercu mojem. Przycisnąłem ręce do piersi, rozpłakałem się jak niemocna dziecina.

— Już go więcej nie zobaczę, nie, nie...

Tak mówiło mi przeczucie.

Wróciłem do domu znękany, jak gdybym był pogrzebał kogoś bardzo ukochanego. Osunąłem się w fotelu, stojącym w najcienistszym kąciku salonu, potrzebując samotności, gdy wtem żona do mnie przystąpiła i położywszy swe miękkie rączęta na mem zimnem czole, wyrzekła słodkim głosem:

— Dobry Terenkoczy! Będziemy za nim tęsknili, będzie nam smutno i nudno bez niego. On umiał nas zawsze rozweselić, iż nie potrzebowaliśmy żadnego towarzystwa. Trzeba się tej zimy obejrzeć za jaką zabawą, aby się nam wieczorami nie przykrzyło.

Spojrzałem na żonę, nie rozumiejąc zrazu znaczenia jej słów. Jak to? Więc nie miałoby nam wystarczać nasze towarzystwo, więc potrzebowalibyśmy szukać rozrywki poza domem?

Pytania te wyczytała snać Jadwinia z ócz moich, bo mówiła dalej, pocałowawszy mnie w głowę:

— Dobrze nam wśród czterech ścian, lecz niepodobna się dłużej odgraniczać od reszty świata. Jesteśmy oboje młodzi, należy nam się jeszcze coś od życia. Wszakże prawda, mój najdroższy.

Prawda, prawda! Ona była jeszcze tak młodziuchną, a ja trzymałem ją prawie pod kluczem, jak niewolnicę. To barbarzyństwo, to samolubstwo! Rzeczywiście, trzebaby o tem pomyśleć, aby się mój kotek, moja gołąbka, mój pieszczoszek cokolwiek zabawił. Jestem egoistą! Chciałbym, aby tylko dla mnie żyła. Przecież to nudno służyć wiecznie tej samej osobie.

— Bo widzisz mój drogi — mówiła dalej, obejmując mnie za szyję — pisała do mnie mama, że przyjedzie do nas na kilka miesięcy. Lękam się, żeby nie pomyślała, iż nie jestem zadowolnioną, gdyby mnie zastała siedzącą ciągle w domu, jak zakonnicę. W Polsce bawią się ludzie tak ochoczo, tak wesoło. Niech tylko zjedzie kilka osób, a już tańczą do rana, zwłaszcza podczas karnawału, który się zbliża. Idzie mi tylko o mamę. Nie chcę, aby powiedziała, że jesteś niedobrym mężem.

Jaka ona dobra, myśli tylko ciągle o mnie. Rzeczywiście, trzeba się koniecznie bawić, aby świekra...

Szara mgła osiadła mi na oczach. Zadrżałem lekko, jakby nagły chłód na mnie powiał. Mgła zgęściła się w papier, papier rozstąpił się na kilkanaście kartek, a na każdej wyczytałem «rachunek,» wydrukowany tłusto, potem jakieś cyfry, słowa, podpisy...

Znałem te kartki od kilku miesięcy. Zrobiło mi się słabo — cofnąłem się w głąb fotelu.

Trzeba się bawić, aby świekra... o, Boże...

XII.

Skończyły się wesołe dni Aranjuezu.

Dwa dni po wyjeździe Terenkoczego przybył do miasteczka powiatowego nowy naczelnik dystansu, który miał pozostać aż do ukończenia budowy drogi żelaznej. Otworzyłem oczy szeroko, gdy «królewsko-pruski Baumeister» wszedł do biura.

To ma być inżenier? W życiu mojem nie widziałem takiego technika. Dotychczasowi moi koledzy wyglądali jakoś inaczej. Każdy z nich przywykły do niewygód całej podróży, miał w sobie coś żołnierskiego, bujnego, fantastycznego. Czapka na bakier, wąs zakręcony, ruchy swobodne, pewne, głos donośny, wyrobiony komendą w polu, krótka marynarka na grzbiecie, a na nogach długie buty juchtowe.

A ten? Obrzuciłem go wzrokiem i załechtało mnie coś w gardle, jak gdyby mi się na śmiech zbierało.

Wysoki, cienki, wyschły, z okularami na nosie, w eleganckim, starannie zapiętym tużurku, był podobny do wyższego biurokraty, do radcy lub innego dostojnika, uwędzonego w tropikalnej atmosferze kancelarji. A z jego twarzy koloru żółci wiał nieprzyjemny chłód, a każdy ruch zdradzał człowieka, któryby, umarł, gdyby ujrzał na kartonie najmniejszą plamkę.

Skłonił się bardzo grzecznie, uśmiechnął się protekcjonalnie i zapytał zaraz po pierwszem przywitaniu o porządek biurowy.

Wytrzeszczyłem na niego oczy, bo nie wiedziałem dotąd, co to godziny urzędowe. Z Terenkoczym pracowaliśmy, kiedy nam się zachciało, nie troszcząc się wcale o formalności urzędnicze. W dzień pogody zrobiliśmy tyle, ile inni w trzech dobach; w czasach zaś słoty lub zawieruchy graliśmy sobie w wista lub marjasza. Gdy dyrekcja nagliła, spieszyliśmy się jak lokomotywa; a gdy o nas zapomniała, nie przypominaliśmy się jej wcale. Mimo takiej dowolności w rozkładzie czasu, nie spóźnialiśmy się nigdy, wygotowując wszystko na termin.

Gdym to panu Krügerowi (tak nazwał się mój nowy zwierzchnik) oświadczył, uśmiechnął się biuralista szyderczo i przemówił syczącym głosem, cedząc słowo po słowie.

— Być może — nie wątpię; przyznaję nawet, chciałem powiedzieć, że nie mam nic przeciw takiej metodzie, lecz daruje pan, ze będę się mimo to trzymał regulaminu. Przepis zaś dyrekcji każe pracować od ósmej godziny zrana do pierwszej w południe i od trzeciej po obiedzie aż do szóstej wieczorem. Co do mnie, nie mam zamiaru zmieniać regulaminu.

Wyrzekłszy te słowa, spojrzał na mnie przez błyszczące szkła okularów zimnym, nieubłaganym wzokiem, który dopowiadał: a mniemam, że i ty zastosujesz się do przepisów dyrekcji.

Musiałem, bo zrozumiałem bardzo dobrze, że ten suchy urzędnik nie będzie w razie nieposłuszeństwa tak dobrym, pobłażliwym kolegą, jak Terenkoczy.

Siedziałem odtąd codziennie od świtu do nocy za stołem nad kartonami, bo zimą zaczyna się dzień zaledwo o g. ósmej, a o trzeciej zapalano już lampy. Mniejsza o pracę systematyczną; przywykłem do niej w szkołach i w akademji. Ale człowiek ten drażnił mnie swoim spokojem. Stał on całe godziny, jak mumia, przy swojem biurku, sztywny, nieruchomy, posuwając tylko rękę po kartonie. Ani zagadał do mnie, ani odezwał się, chyba, że potrzebował sprawdzenia jakiejś liczby, lub wytłumaczenia jakiegoś szkicu.

Nie było nawet mowy o stosunku koleżeńskim. Przeciwnie, zaraz drugiego dnia zetknęliśmy się, jak dwa ostre miecze.

Kolorowałem plan sytuacyjny. Ręka moja, ociężała przez pracę polną, odwykła od delikatnych pędzelków i drobnych piórek, używanych do cieniowania, nie pomykała dość szybko po papierze. Tu i ówdzie zlewały się barwy, wytwarzając ciemniejsze plamy.

Mój szef syknął i pożółkł jeszcze więcej, gdy ujrzał te drobne nierówności. Wskazał palcem na miejsce, niedość roztarte i spojrzał na mnie pytająco:

— Nie zapominaj pan, że jestem inżenierem, a nie rysownikiem. Rzeczą moją projektować i obliczać, a nie malować, — odrzekłem niechętnie.

— Przepraszam, — wyrzekł naczelnik — bardzo przepraszam, uśmiechnął się kwaskowato — mnie się zdaje, że inżenier musi umieć wszystko, co wchodzi w zakres jego fachu.

— Zapewne, lecz przepędziłem kilka lat w polu i odwykłem od drobiazgowości biurowej.

— Hm! mruknął tylko, odchodząc do swego stołu.

Nazajutrz siedział w drugim pokoju mistrz murarski, pełniący służbę rysownika.

W kilka dni potem starliśmy się znów po raz wtóry.

Obliczałem niwelacje. Dodawałem i odciągałem nieskończone kolumny cyfr, aż mi w oczach pociemniało, tem więcej, że musiałem myśl naginać, przymuszać do tej zabójczej roboty. Dnia tego przysłano mi kilka rachunków, grożąc skargą, sądem, komornikiem. Zkąd dostać pieniędzy, zkąd... zkąd? Pytanie to przeszkadzało mi ciągle, odwracając uwagę moją od brulionu. Pomyliłem się, opuściłem kilka pozycyj.

Mój szef, który sprawdzał obrachunki, oddał mi papier, podkreśliwszy wadliwe miejsca niebieskim ołówkiem. Liczę jeszcze raz, to samo; trzeci raz, to samo. Za każdym razem wraca papier do mnie z ohydną kreską.

Porwała mnie pasja! Terenkoczy byłby po prostu powiedział: popraw, w tem a w tem miejscu jest błąd! A ten niemiłosierny człowiek milczał, urągając mi tylko swym przeklętym, obłudnym uśmiechem.

— Powiedzże mi pan do kroćset, gdzie się omyliłem a nie męcz mnie, jak nieszlachetny chłopiec, bawiący się śmiertelnemi ruchami motyla, trzepocącego się na szpilce, — zawarczałem głosem, który gotował się w gardle od wewnętrznego wzruszenia.

Lecz on wyprostował się, zmierzył mnie od stóp do głowy i wyrzekł twardo, jak automat:

— Zapominasz pan, że jestem twoim zwierzchnikiem.

— Jesteś pan tylko inżenierem tak samo jak ja, — rzuciłem gniewnie.

— Ale ja jestem już po drugim i ostatnim egzaminie, a pan po pierwszym; ja piastuję godność urzędnika etatowego, a pan pobierasz dotąd tylko dyety, — dodał pogardliwie.

— Aaa, nie wiedziałem, — wyrzekłem zdziwiony.

W polu nie mówiliśmy nigdy o tem, kto był po pierwszym, a kto po drugim egzaminie, kto na dyetach, a kto na etacie. Byliśmy kolegami, towarzyszami i na tem koniec.

— Dowiedziałeś się pan teraz, — mówił biuralista, nie zmieniając postawy «władzy».

Po raz pierwszy w życiu uczułem gorycz służby. Butna moja natura zawrzała gniewem, krew uderzyła mi do głowy. Chciałem odpowiedzieć coś hardego, lecz wtem przypomniała mi się żona, syn.

Zgrzytnąłem tylko zębami, jak pies miotający się daremnie na obroży.

— Masz pan słuszność — wyrzekłem cichym, złamanym głosem — trzeba błędy poprawić.

Widziałem, jak za szkłami okularów błysnęła w jego źrenicach dzika radość. Skinął protekcjonalnie ręką i pochylił się nad papierami.

Scena ta uniemożliwiła raz na zawsze koleżeńskie pożycie

z nowym zwierzchnikiem. Mówiliśmy do siebie bardzo mało, odzywając się tylko wtedy, gdy się konieczna okazała potrzeba. Siedzieliśmy w biorze, jak dwaj niemi, nie troszcząc się jeden o drugiego. On w szczelnie zapiętym tużurku, ja bez wierzchniego ubrania, potniejąc i dusząc się w pokoju, rozpalonym do suchości. Urzędnik trząsł się, gdy zastał w kantorze piętnaście stopni ciepła, a ja, zahartowany w polu, otwierałem znów drzwi i okna, gdy się mój szef na kilka chwil oddalił. Sprzykrzyła mu się nareszcie ta ciągła walka i dlatego poprosił mnie, abym się do osobnego przeniósł pokoju.

Mimo osobnego przedziału, trzymałem się ściśle regulaminu. Za nic w świecie nie byłbym się chciał narazić na nagany mego «zwierzchnika». Wolałem nadmiar pracy, niż jego uśmiech szyderczy. Stawiałem się regularnie, jak żaczek szkolny z wybiciem godziny ósmej, składając cyrkiel i ołówek z skwapliwością nauczyciela gimnazjalnego, gdy mnie południe uwolniło z tych męczarni.

Męczarnią bo była praca pod wodzą takiego szefa, tem więcej, że przychodziłem do biura najczęściej niewyspany i znękany.

Karnawał rozruszał mieścinę powiatową. Prawie codziennie odbywał się jakiś balik, wieczorek, piknik i Bóg wie co. Hulali szewcy, krawcy, kowale i piekarze, każdy cech z osobna; tańczyli urzędnicy niżsi i wyżsi, bawili się w końcu ziemianie okolicy.

Mój gołąbeczek, moja Jadwinia zasmakowała w niewinnej uciesze. Była przecież królową wszystkich zabaw, podziwianą, uwielbianą, oklaskiwaną. Gdziekolwiek się ukazała, rozlegał się cichy szept: *die schöne Polin!* Gdy płynęła po woskowanej posadzce, unoszona ramieniem tancerza, biegło za nią niejedno długie, zachwycone spojrzenie. Gdy spoczywała po gwałtownym ruchu tańca, chłodząc się wachlarzem, patrzano na mnie z zazdrością.

— *Ach wie sie reizend ist, die schöne Polin!* — mówili niemcy.

Była też rzeczywiście piękną, ta moja czarnooka, jasnowłosa żoneczka. Gdy sunęła przez salę, owiana szelestem jedwabiów, zbudowana jak Junona, harmonijna jak symfonia, z ożywioną wśród tańca twarzyczką, z rumieńcem na policzkach, z roziskrzonem okiem, gdy drobna, maleńką nóżką, ubraną w bucik atłasowy, dotykała zaledwo posadzki, nie mogłem nawet ja, który przywykłem do jej wdzięków, wzroku od niej odczepić. Prawda, była piękną...

Niemcy nie widzieli na partykularzu tak eleganckiej i ślicznej istoty. Nie mogli się nasycić jej widokiem, chwytając ją bezustannie.

Byłem dumnym z takiej żony. Widziałem, że i matka, która przyjechała do nas z odwiedzinami, podzielała ze mną to samo uczucie.

I jakżeż odmówić tak pięknemu pieszczochowi najpospolitszej z uciech towarzyskich? Ona wyszła tak młodo za mąż — liczyła dziś dopiero dwudziesty rok życia, nie miała jeszcze czasu do nasycenia się zabawami. Każda z jej koleżanek używa w Polsce daleko więcej, aniżeli ona. Niech się bawi, niech się gołąbka moja bawi. O, tak.

Przecież to nie zbytki! Kilka sukienek balowych, kilkanaście par rękawiczek; trochę pieniędzy, wydanych na wieczerzę, cukry i lody. Cóż to znaczy? ona niewinna, że mąż jej niema nawet na tak skromne uciechy; ona nie wie o tem, nie domyśla się nawet, że jej Zygmunt tasuje już weksle jak karty, płacąc długi nowemi długami, łatając stare dziury nowemi.

Cóż ją to zresztą może obchodzić? Mąż jest na to mężem, aby zarabiał na dom, na żonę, dzieci i zabawy, bo chyba trudno żyć młodej kobiecie wśród czterech ścian, jak zakonnicy. Ktoby tak prześliczną niewiastkę zaniepokajał codziennemi interesami?

Ja, nie. Gdy uwiesiła się na szyi mojej i spojrzawszy na mnie swemi niewinnemi oczętami, zapytała pieściwym, kochającym głosem: czy pójdziemy dziś na bal? pogładziłem jej jasny, puszysty włos, odpowiadając pocałunkiem i słowami: ależ naturalnie?

— Ale widzisz mój drogi, nie wypada pokazać się po raz drugi w tej samej sukience. Czy możesz mi kupić inną?

— Ależ naturalnie, naturalnie!

Gdybym był odparł, że nie mam pieniędzy, nie byłaby poszła na bal. Wiem o tem, ręczę zato, bo ona mnie tak kocha, ta najdroższa moja, żeby się nie chciała niczem przyczynić do pomnożenia mych trosk. Dlatego nie mówię jej nic o kłopotach, bo chcę, pragnę, żądam, aby się bawiła.

Mnie nie wabią tańce i wieczerze. Natańczyłem się dosyć w życiu, nahulałem się w przeciągu dwóch lat do zbytku, do przesytu. Przenoszę teraz ciche szczęście ogniska domowego nad wrzawę balów. Zresztą, trudno kręcić się w kółko, gdy trzeba myśleć nad tem, zkąd brać pieniądze na zabawę. Jadwinia wzbudziła swą nową sukienką zazdrość w żonach dygnitarzów małomiejskich, a ja medytuję nad tem, do kogo pójdę jutro po kilkaset marek, aby jej kupić inną, nową, strojniejszą. Hm, hm. Ten mi już pożyczył i ten, i ten i ten. Szereg pokątnych lichwiarzów kończy się...

Mrowie mnie przechodzi, a kapela gra rozkosznego walca. Jaki on słodki, jaki miękki!

— Możeby mi ten jeszcze dał. Ale to istny rabuś, zdziera dłużnikom skorę z głowy. Nie, nie...

Walc namawia, ciągnie pcha do tańca. Jaki on słodki, jaki miękki.

Nagle przebiega mnie dreszcz. Mój syn, mój Witoldek został w domu na łasce służby. Słyszałem, czytałem tyle o niedbalstwie nianiek. A gdyby mu się coś stało, gdyby go przeziębili, przełamali, okaleczyli! Włosy stają mi na głowie.

Nieraz uciekam z balu na godzinę, na dwie, biegnę do domu, siadam przy kołysce mego jedynaka, bawię się z nim, śmieję, straszę go wąsami, jak Terenkoczy. Czasem usuwam się zmęczony w fotelu, ukrywam twarz w dłoniach, a wtedy płacze mi serce:

— Twoja mama tańczy, a twój tatuś myśli, zkądby dostać pieniędzy.

Wtedy zdaje mi się, że ciało moje występuje z granic przyrodzonych, że rosnę aż w powałę, a potem maleję, coraz więcej, aż opadam gdzieś daleko... głęboko.., pod ziemię.

XIII.

Popielec! Wczoraj brzmiała jeszcze kapela w sali ratusza, aż się stare, grube mury trzęsły, jak niegdyś temu lat kilkaset, gdy w tych samych komnatach biesiadowali dumni a dzicy Krzyżacy. Przypatrywałem się wczoraj marsowym twarzom rycerzów-mnichów, spoglądających z ponurych ścian na tańczącą gromadkę. Zdawało mi się, że się blady, szyderski uśmiech przewija po ich zwartych szczelnie ustach, że zamierzają dźwignąć olbrzymie swe miecze i wpaść między te małpy skaczące, ubrane w kilka łokci czarnego sukna, między te papugi, strojne w kolory tęczowe, i rozpędzić tę całą hołotę na cztery wiatry.

Bo też prawda! Jest-że to rozum kręcić się w kółko przez całą noc, od wieczora do rana, spotnieć, zmęczyć się, przeziębić? I to zowią ludzie zabawą. Nie lepiej-że to siedzieć w ciepłem gniazdeczku, nad kołyską i przypatrywać się twarzyczce małego

Witoldka, tej miluchnej buzi, jaśniejszej codziennie rosnącą świadomością istnienia?

Ale moja żonusia hasa, aż miło na nią patrzeć. Śmieje się, chychocze, rumieni, błyszczy, olśniewa urodą i lekkim dowcipem salonów. Jakie to jeszcze młode, jakie niewinne, a nawet naiwne stworzonko!

Lubiłem i ja uciechy przeróżne, gdy byłem... młodym. A dziś uśmiecham się pogardliwie. Liczę dwudziesty ósmy rok. Ludzie mówią, że zaczynam dopiero żyć, a przecież wiem ja chyba najlepiej, że odbiegły moie już wszystkie illuzye — towarzyszki młodości. Przedwczesny chłód rozpościera się w mem sercu, nerwy ziębną, dolegają mi. Przestaję się spodziewać owego «może,» które mnie ma wyrwać z toni trosk o byt materjalny. A miłość? Nie śmiem sobie odpowiedzieć na to pytanie.

Spojrzałem w zwierciadło wiszące nad tualetą mej żony, oparłem głowę na dłoni i śledzę uważnie zmianę własnej twarzy. Nad uchem świeci coś jasnego. Byłaż-by to siwizna? Ależ naturalnie! Trudno się łudzić, oko nie myli: to strzępek srebrnych nitek. Gorącą musiała być krew, która pulsowała w tem miejscu, kiedy spaliła włosy do białości. Ba, wierzyciele nie przemawiają chłodno, przyzwoicie....

Na czole wyryła się głęboka bruzda, a z dołów ócz, od strony uszu tryskają promienie, rozchodzące się po całej skroni. Cera, niedawno świeża, pożółkła, a skóra zaczyna więdnąć, fałdować się.

I to nazywają ludzie młodością.

Wesoły śmiech przebudza mnie z tej zadumy. To gołąbka moja stoi za mną i odzywa się.

— Mój najmilszy koteczek liczy sobie zmarszczki, jak widzę. Niktby nie myślał, że i mężczyźni martwią się na widok tych brzydkich znaków. Mamo, mamo, Zygmuś liczy sobie zmarszczki.

I śmiała się, klaszcząc w dłonie.

— Pewno cię popielec nastroił do tak poważnych badań?— dodała po chwili.

Mnie się jednak wcale na śmiech nie zbierało. Owszem, rzecz dziwna, wesele żony gniewało mnie. Po raz to pierwszy od czasu naszego ślubu...

Po raz pierwszy też nie uściskałem Jadwini, nie obcałowałem jej różowych policzków, nie pieściłem jej złocistych splotów, tylko mruknąłem prawie niechętnie twardym głosem:

— Popielec nie roztkliwia mnie wcale; przeciwnie jestem zadowolony, że dzień ten zakończył nareszcie bezmyślne pląsy i niepotrzebne wydatki.

Wyrzekłszy te słowa, przeraziłem się sam ich dzwiękiem i znaczeniem. Przykre to były wyrazy. Spojrzałem z trwogą na żonę, lecz ona rozśmiała się jeszcze głośniej, wołając:

— Mamo, mamo, czy słyszysz? Zygmuś staje się kaznodzieją; prawi o oszczędności, jak filister niemiecki.

— Wcaleby nam, a przeważnie wam kobietom nie zaszkodziło, gdybyście się nauczyły od swych sióstr germańskich odrobiny praktyczności, — odparłem, podrażniony śmiechem Jadwigi.

— Możebyś chciał, żebym chodziła na targi, pilnowała kuchni, wyręczała sługi? Mamo, mamo, czy słyszysz co Zygmuntowi przychodzi do głowy?

— A dlaczegożby nie? Nie pracuję-ż ja sam ciężko, nie muszęż brodzić po błocie i śniegu, jak ostatni wyrobnik, albo potnieć w biurze pod okiem niemiłego zwierzchnika? Mieli-żby tylko mężczyźni być wskazani na trud, na mitręgę? I kobieta jest człowiekiem.

Nie wiem zkąd mi się wówczas wzięły te pojęcia. Jeszcze przed pół rokiem byłbym nazwał każdego bluźniercą, ktoby się śmiał w ten sposób odezwać do pięknej, młodej kobiety. Ha, długi, weksle, ciągłe kłopoty. Rozwiązały one wszystkie dawniejsze wyobrażenia o świętości i wyższości rodu niewieściego; zrobiły mnie filistrem, chleborobem, zrzędą.

Lecz żona moja, mniemając, że żartuję, przypadła do mnie, ujęła mnie za głowę i odwróciwszy ją twarzą do siebie, mówiła:

— Maruda, maruda, maruda!

Było jej tak ładnie z nasrożoną minką, z udanym gniewem, z ściągnietemi ponuro brwiami, że byłbym ją jeszcze wczoraj zjadł pocałunkami. Ale dziś dogryzł mi straszliwie ten przeklęty Rosenthal, lichwiarz, opryszek, szubienicznik. Groził mi skargą do dyrekcji, aresztem pensji i różnemi innemi rzeczami; znęcał się nademną, jak nad parobkiem: byłbym go zmiażdżył, strzaskał.

Nie miałem ochoty do żartów.

— Daj mi swięty spokój! — fuknąłem.

Ona odjęła ręce od mej głowy, spojrzała na mnie szeroko rozwartem, zdumionem okiem, odwróciła się i wybuchnęła głośnym płaczem.

Jak grom uderzył we mnie ten niespodziewany obrót położenia. Zerwałem się z krzesła, skoczyłem do żony, padłem na kolana i zacząłem całować gołąbkę moją po twarzy po włosach, po rączkach.

— O Boże, przebacz mi, przebacz, zapomniałem się; jestem stroskany, zmęczony. Nie wiem, co mówię — szumi mi w głowie. Przebacz, przebacz, najdroższa, najukochańsza, Jadwiniu moja — wołałem.

Ale ona leżała już na kanapie, zwrocona twarzą do poduszek i łkała konwulsyjnie, a każde jej łkanie przeszywało mnie nożem, sztyletem.

— Przebacz mi, przebacz...

— O Boże, Boże — skarżyła się.

Konwulsyjny płacz rosł, wzmagał się, potężniał, coraz, rzewniejszy, boleśniejszy. Nagle wydobył się z piersi mej żony jakiś dziki, urywany śmiech, potem drugi, trzeci, czwarty, i potoczył się coraz szybciej, coraz obficiej: ha, ha, ha...

Ha, ha, ha, śmiała się niby piekieł, szatanów chychotem; ha, ha, ha, rozlegało się po całym domu..,

Śmiech kurczowy, spazmy! Straciłem głowę, biegałem po mieszkaniu, szukając a nie wiedząc czego; wywracałem krzesła, rozbiłem karafkę, potknąłem się, padłem na kobierzec.

Ha, ha, ha, śmiał się każdy atom powietrza. Zawal się, domie, i pogrzeb mnie; rozstąp się ziemio i pochłoń mnie! Duchy ciemności z baśni ludowych muszą się śmiać tak samo.

Podniosłem się, przybiegłem do Jadwigi, ale już zajęła się nią matka. Szeptała jej coś do ucha, potem zwilżyła jej twarz wodą. Śmiech zwalniał, słabł stopniowo, odzywając się po chwili tylko od czasu do czasu.

Gdyby mię byli rozciągali na torturach, nie byłbym więcej cierpiał. Bolała mnie każda kostka, paliła każda kropla krwi.

Przepraszałem, przysięgając uroczyście, że nie wrócę po raz wtóry do sprawy, która narobiła mnie i żonie tyle biedy. Przepraszałem z łzami w oczach.

Przebaczyła w końcu, uśmiechnęła się łagodnie, z miłością, i rozgrzała pocałunkami usta moje, wyziębione nadmiernem wzruszeniem.

Gdy się po dwóch godzinach twarz mej żonusi zupełnie wypogodziła, gdy oczęta jej wyschły, świecąc jeszcze jaśniej, promienniej, jak słońce po deszczu, poszedłem do salonu, spragniony spoczynku. Ciężka to praca utulać spazmującą połowicę. Wolałbym marznąć na śniegu przy teodolicie, choćby na płaszczyznach mazurskich. O, zapewne!

Upadłem w fotelu przed swem biurkiem, skuliwszy się jak robak dotknięty stopą mimo idącego człowieka. Było mi zimno, zimniej niż po dniu, spędzonym wśród słoty i błota pod gołem niebem przy robocie.

Zwinąłem się w łęk, dotykając prawie brodą kolan. Ogarniała mnie senność, powieki nie zawierały się, owszem, rozchyliły się niezwykle. Patrzyłem przed siebie na kobierczyk szklistą źrenicą. Nie widziałem nic.

Lekkie dotknięcie niewieściej dłoni, które spoczęło na mem ramieniu, wyrwało mnie z tego stanu osłupienia.

Była to pani Rokitnicka, matka mej żony.

— Jakiś wielki smutek musiał cię spotkać, Zygmuntku, kiedyś się tak dalece zapomniał, — wyrzekła. Proszę cię, powiedz mi, co ci dolega?

Skrzywiłem usta boleśnie, lecz milczałem.

— Proszę cię, powiedz mi; jestem przecież waszą matką,— nalegała.

Prawda, ona była naszą matką, a nadto dojrzałą, wytrawną kobietą. Może zrozumie moje kłopoty wpłynie nieznacznie na córkę. Powiem!

—Pensja moja nie starczy na utrzymanie domu, wiecznie prześladują mnie; trzebaby się trochę ograniczyć, — bąknąłem.

— Tylko to? Jakiś ty jeszcze młody, moj zięciu kochany. Trudno żyć oszczędniej, jak wy. Przyznam ci się otwarcie, że dziwię się, iż Jadwinia może wytrzymać wśród takiego otoczenia i w takich warunkach. Tylko jej wielka miłość do ciebie tłomaczy mi jej zadowolenie. Biedne moje dziecko, biedna moja pieszczota. Matka jej żyła inaczej, gdy liczyła dwudziestą wiosnę życia; matka jej bawiła się, obracała się w swoich sferach — a ona? Jakież tu życie, jakież tu towarzystwo?

Westchnęła. Wiedziałem o tem, że matka mej żony żyła inaczej, ale za to też sprzedano jej wioszczynę, a ją samą wyrzucono na bruk. Byłaby umarła z nędzy, gdyby nie dobre serce jakiegoś krewniaka.

— Nie potrzebuję mamę przekonywać, — wyrzekłem — że otoczyłbym Jadwinię przepychem całego Wschodu, że wyścielałbym jej drogę choćby kwiatami, gdyby mi środki na to pozwalały. Lecz widocznie nie muszę mieć nawet na skromne zabawy, kiedy mnie one narażają na grubiaństwa wierzycieli. Mama wie, że pensja moja...

— Ach, pensja! — przerwała mi świekra, zrobiwszy ręką ruch lekceważący. Któż mówi o pensji? Twoja pensja starczy zaledwie na przyzwoite mieszkanie i na służbę.

— Więc zkądże wezmę więcej?

— Zkąd? Wiem, że inżenierowie mogą mieć rożne dochody poboczne. Słyszałam nieraz, że dostawcy nie szczędzą...

— Łapówek! — wybuchłem, poczerwieniawszy. Rzeczywiście, nie szczędzą... Gdybym zechciał, mógłbym pobierać znaczne sumy od przedsiębiorców, ale tego nie uczynię.

— Dlaczego? — zapytała matka, zdumiona.

— Dlaczego? Bo łapówka rowna się kradzieży, moja mamo, a nie na to chodziłem przez dwadzieścia lat do szkoły, abym się wykierował na złodzieja.

— Zapalasz się niepotrzebnie, mój Zygmuntku. Nie widzę wcale w tem zbrodni, gdy inżenier weźmie pieniądze od dostawcy materjałów budowlanych...

Nie mogłem wytrzymać.

— Ale ja widzę w tem zbrodnię! — zawołałem. Biorąc bowiem nieprawne wynagrodzenie, muszę popierać człowieka, który myśli tylko o własnej korzyści z szkodą instytucji, płacącej mnie za nadzór. Obowiązkiem moim pilnować dobra rządu, który mnie na to tu postawił, abym strzegł jego mienia. Uczciwy dostawca, wypełniający sumiennie warunki kontraktu, nie może dawać łapówek, bo my znamy się przecież na cenach kamienia, żwiru, drzewa i żelaza. Tylko przedsiębiorca oszust, odstawiający materjał gorszy jakością i mniejszy ilością, może zarobić tyle, że mu starczy na gratyfikacje dla kontrolującego inżeniera, czyli, że w takim razie musiałbym oglądać kamienie i żwir tylko z wierzchu, nie zaglądając do środka i zamykać nieraz oczy, gdyby miara istotna nie odpowiadała przepisanej, zakontraktowanej. A ja tego nie uczynię.

— Ależ...

— Nie, nie, — przerwałam gwałtownie — nie trudź się daremnie, mamo—nie przekonasz mnie; nie chcę być oszustem— wolę z głodu umierać.

Pani Rokitnicka uśmiechnęła się brzydko i wzruszyła lekceważąco ramionami, jak gdyby chciała tym gestem oświadczyć: w takim razie umrzyj sobie z głodu.

XIV.

I znów zadzwonił skowronek nad głowami pracowników. Wichry połnocne wróciły między lody podbiegunowe, śniegi spłynęły do rzek, do morz, ziemia odetchnęła wonią wiosenną, pokrywając się zielonemi kobiercami, młoda, ciepła, lśniąca nad ranem miliardami kropel rosy.

Nawet smutne, jednostajne równiny Prus Wschodnich ożywiły się, zaludniwszy się gromadami ptactwa wodnego, nadciągającego z siedlisk zimowych. Nad błoniami szybowały krzykliwe czajki, wołając na alarm, ilekroć się stopa człowieka zbliżyła w stronę ich gniazd; tu i owdzie strzelił dubelt w błękity, becząc jak owca, a z traw odzywał się derkacz, niby cieśla, rżnący deski.

Wyroiliśmy się w pole: kilkunastu inżenierow, przysłanych do pomocy z Berlina, kilkuset ludzi z szpadlami, taczkami i siekierami. Jak stado hyen rzucali się robotnicy na glebę wzdłuż wytkniętej linji, rozcinając ją, rozrywając, rozkopując. Tu odbierano, tam dodawano; tu przebijano wzgórze, tam zasypywano doły. Stuk, łoskot, wrzawa! Spływał pot z czoła ludzi, spływał i po twarzy rozkazodawców. Trzeba było wszędzie być, wszystko dojrzeć, każdemu wskazać, wytłumaczyć, co ma robić.

Zaczęliśmy budować.

Mnie wyznaczył naczelnik dystansu trzecią milę, część najtrudniejszą do opracowania, bo grunt mokry, zdradliwy jak moczar. Sypało się żwir i piasek całemi górami w rożne zagłębienia, a gdy się nazajutrz przyszło na miejsce, nie spotykało się ani śladu wczorajszych trudów. Nasyp wsiąkł, utonął, znikł, jakby przepadł. Zaczynaj na nowo! A jutro znow to samo, i po jutrze to samo.

Pan Krüger był zanadto doświadczonym inżenierem, aby nie znał powodu tego opóźnienia w robocie. Mimo to zrzędził codziennie; gdy rewidując linją, do mnie nadjechał, mruczał coś pod nosem o «polskiem gospodarstwie.»

Ściskałem pięść, lecz milczałem. Czasem spoczęły oczy moje tak ponuro na nim, jak dwie groźby. Lecz pan Krüger uśmiechał się tylko, wykrywając ciągle nowe niedokładności.

Ach, ten uśmiech! Gdybym go mógł wyrwać, wydrzeć z tych brzydkich, zwiędłych ust i podeptać, jak gadzinę jadowitą. On mnie tak bolał, on zatruwał mi cały dzień...

Lecz... milczałem.

Pan Krüger wyznaczył mi trzecią milę, bo wiedział, że nie mogę jeździć konno na miejsce, jakby to każdy inny kolega w takim razie uczynił. Płacili nam przecież tak zwane koszta podróży, ktoreby wystarczyły na utrzymanie jakiego szkapska. Ale ja? Ja musiałem znosić każdy grosz do domu. Było tych groszy i tak za mało.

Przeto spieszyłem codziennie z świtem przeszło dwie mile do mojej części i wracałem wieczorem tak samo po dziesięciogodzinnem uznojeniu. Bywałem też czasami tak zmęczony, że wlokłem za sobą nogi, jak dwie rozpalone kule. Nieraz doznawałem uczucia żołnierza, stępionego niewygodami obozowemi tak

dalece, iż zasypia wśród gradu kul, obojętny na krwawy los, który go zewsząd straszy. Ledz na ziemi, rzucić się w błoto i leżeć bez myśli, bez pragnienia...

Nie mogłem! Otaczał mnie zawsze legion robotników, towarzyszących mi do miasta. Ci ubodzy ludzie zrozumieli bardzo dobrze mój stosunek do naczelnika, choć nie ganiłem przed nimi nigdy p. Krugera. Oni czuli niegodność tego drobnego prześladowania, męczącego, niecierpliwiącego, jak ukąszenie komarów. Uważałem nieraz, że opierali się na szpadlach, lub zatrzymywali się z taczkami, gdy «zwierzchnik» ze mną rozmawiał. Tramp, dawniejszy mój lokaj, a obecnie przewodnik robotników mej części, groził zwierzchnikowi pięściami. Udawałem, że nie widzę tych znaków nieprzyjaznych.

Cała gromada wracała zawsze ze mną do miasta, gawędząc sobie poufale wśród drogi. Przy mnie nie wystrzegał się nikt; robotnicy wiedzieli, że im «polski pan», jak mnie nazywali, nie zrobi krzywdy. Gdy czułem, że mi nogi nabrzękły, że nie ujdę już nawet kilkunastu kroków, wtedy poprosiłem towarzyszów, aby mi zaśpiewali jakiego marsza. Wnet rozległa się pieśń bitew, a ja podnosiłem głowę, prostowałem nogi i posuwałem się dalej, lżej, swobodniej; jak rumak bojowy, gdy zabrzmi trąbka wojenna.

Byłbym mógł nocować w karczmie, lecz to kosztowało, a ja nie chciałem wydawać ani grosza po za domem. Wolałem się męczyć, upadać na twarzy z pracy, byle zaoszczędzić, choćby odrobinę dla mojej ukochanej, dla mojej Jadwini.

Słońce szczęścia nie opromieniało i tak jej jasnej, białej główki. Co za los! wyrwana z objęć rodziny, z wesołego towarzystwa polskiego, z grona przyjaciół i znajomych, przeniesiona jak kwiatek z wonnej cieplarni, w jednostajną, szarą atmosferę, nudnego życia małego miasteczka niemieckiego, obca, samotna, bezczynna, musiała więdnąć wśród takiego otoczenia.

O czemże mogła mówić z żonami mych kolegów? O kuchni, o przypalonej polewce, o stłuczonym garnku, o pończochach dzieci? Samo już obcowanie z kobietami bez wykwintnego wychowania domowego, musiało ją męczyć. Niemki kształciły się na dobre gosposie, a moją Jadwinię wypieściła matka na damę wielkiego świata.

Rozumiałem bardzo dobrze, że położenie moje nie może zadowolnić Jadwini; rozumiałem to dopiero dziś, gdy minęły słodycze pierwszego roku, a nadeszło przywyknięcie do nowych stosunków, gdy rozkosze miłości przestały być dla mojej żony urocza tajemnicą.

O tak, wszystko przemija, stygnie — nawet najgorsze pragnienia najnamiętniejszego serca. Gdyby mi to był ktoś w Warmbrunn, na górze Kynast przepowiedział, kiedy mi się zdawało, że okoliczne góry rozgorzały moją miłością, byłbym go był nazwał bluźniercą, świętokradcą.

A dziś? O, nie, ja kocham dotąd moją gołąbkę. Przecież dla niej to spieszę obrzękłemi, rozkrwawionemi stopami codziennie do miasta, aby ją ujrzeć, aby dotknąć zgrubiałemi w polu palcami jej miękkiego włosa; aby ją przycisnąć do zbolałej piersi, do rozpłakanego serca i spojrzeć w niezgłębione tonie jej ocz.

A i ona przytula się do mnie, otacza szyję moją białem, okrągłem ramieniem, i całuje mnie serdecznie na przywitanie. Zygmusiu mój, zmęczyłeś się bardzo, szepcze blademi ustami.

Tak, zbladłemi. Zgasły róże jej buzi, oczęta wyglądają jak dwie gwiazdy, wyzierające z poza przeźroczystych mgieł. Ona płakała, Jadwinia moja płakała. Widzę to, ale nie pytam o powody.

Przecież je znam. Jakże nie płakać, gdy tak nudno, tak samotno? Ja miałem pracę, zajęcie, ale ona? Witoldka bawiła matka, dom porządkowała sługa; trudno codziennie chodzić z wizytami, a balów niema. Co robić? Trzeba płakać i tęsknić za krajem, za dawnem towarzystwem.

Gdybym posiadał środki, wziąłbym żonusię za rączęta i pofrunąłbym z nią daleko, w świat, aby się bawiła. O, wiem, żeby wtedy była szczęśliwą, żeby mnie znów tak samo kochała, jak w pierwszym roku. Ona kocha mnie i dziś, ale jakoś inaczej, poważniej, zdaje mi się, że... trwożnie, boleśnie.

W początkach naszego małżeństwa mówiła mi bez ogródki: kup mi to, kup mi owo? a teraz, po owej scenie, zakończonej spazmami, nie prosi mnie nigdy o nic. Gdy pytam czasem, czy nie potrzebuje czego, odpowiada mi zawsze: to kosztuje za wiele! a gdy się od niej odwrócę, słyszę jej ciche łkania. Wolałbym już głośne wyrzuty, niż te łzy, które mi palą serce. Nie mogę znieść jej niemych skarg...

Wtedy rzucam się twarzą na łóżko i wciskam głowę w poduszki, aby nic nie słyszeć. Ale wewnętrzny głos, nieubłagany sędzia mych czynności, nie pozwala mi spocząć, znieczulić.

Ona nie jest szczęśliwą, a ty jesteś winnym jej smutku: woła straszny prześladowca. Gdyby była została w kraju, możeby była wyszła bogato za mąż, możeby ktoś urodę jej dobrze zapłacił. Tyś winny; ty spłoszyłeś sny jej młodości; ty zamknąłeś jej drogę do blasku, do królowania. Samolubie!

Czuję, że mi coś w czaszce pęka, że mi się w mózgu rwą nerwy, trzeszcząc jak iskry elektryczne.

Zrywam się, uciekam przed sobą do ogrodu, biegam, w końcu staję, uspokajam się, splatam łagodnie ręce na łono i spoglądam w niebo. Ono takie ciche, rozmarzone i błogosławiące. Do serca mego wraca nadzieja: może się zmienią stosunki, może spadnie zkąd deszcz złoty, abym mógł moję pieszczotkę otoczyć wygodami i swobodą dostatku; może, może...

Wyciągnąłem się po obiedzie wygodnie w fotelu, paląc cygaro. Przedemną stał pan Rosenthal, główny mój wierzyciel. Przyszedł, zdaje się, już po raz setny i wyliczał wszystkie grzechy moje z wytrwałością kuranta.

Niski, otyły, z ogromną głową, długim stanem, a krótkiemi nogami, biegał na około stołu, zatrzymywał się przedemną, pytał, odpowiadał sobie sam, a jam słuchał z obojętnością muzułmanina.

Przywykłem do tych jeremiad lichwiarskich i do obrazów a wyrażeń dosadnich. Z początku drażnił mnie ten nikczemny żyd, przebrany w modny tużurek, obwieszony złotem, jak wystawa jubilera, ale człowiek bywa wytrzymalszym od konia dorożkarskiego. Niech sobie tam mówi, co mu się tylko podoba.

— Nu, i kiedy mi pan myśli oddać moje pieniądze? — pytał, doskakując do mnie.

Wzruszyłem tylko ramionami, odpowiadając tym ruchem, że nie wiem terminu.

— Czy pan myśli, że Rosenthal głupi, że on nie wie, jak się brać do dłużnika?

Wypuściłem z ust gęsty kłąb dymu, wyciągając nogi daleko przed siebie.

— Pan sobie ze mnie żartuje; pan sobie myśli: niech żyd czeka! ale mnie już zabrakło cierpliwości. Powiadam panu, że się moja cierpliwość urwała, jak pański kredyt — wrzasnął mi nad samem uchem.

Ziewnąłem szeroko, jak pies, wylegający się na przypiecku.

— Ja będę pana skarżył do sądu, obłożę pensję aresztem, sprzedam graty, stradužę, zniszczę.

Machnąłem ręką obojętnie.

Ten mój spokój wprawił żyda w straszny gniew. Widziałem, jak bladł i czerwieniał, jak się trząsł. A ja uśmiechałem się, zmrużywszy powieki.

— Ja panu pokażę, ja pana nauczę rozumu — wołał. Pan myśli, że kto siedzi w adamaszkowym fotelu i pali dobre cygaro

ten może z kupca szydzić? Ale ja pana wyrzucę z tego fotelu bo on należy do mnie, jak wszystko, co się znajduje w mieszkaniu pańskiem. Proszę, jaki fajner purec! Umeblował się, niby jaki hrabia, co siedzi na złocie, ubiera żonę w atłasy, jada codziennie mięso, trzyma sobie sługę, a to wszystko za krzywdę ludzką.

Czułem, że moja dotychczasowa apatja ustępuje miejsca wewnętrznemu wzburzeniu, ale milczałem jeszcze. Rosenthal nie wyrażał się nigdy tak obelżywie.

— Patrzcie, jaki fajner purec! Kto niema na cztery pokoje, niech mieszka w jednym, komu nie starczy na jedną żonę, na którą trzeba tylko patrzeć, niech się ożeni z kobietą praktyczną, gospodarną. Co mi do tego, że mi pani inżenierowa wygląda jak wielka dama, że nie wala sobie paluszków ordynarną robotą, kiedy ja za to muszę płacić? Co mnie do tego?

Złożyłem niedopalone cygaro na krawędzi okna i załamałem ręce aż trzasły wszystkie stawy. Zaczynało mi się robić gorąco.

— To nie sztuka udawać pana za cudzy grosz! Ja bym chciał tak samo. Ale Rozenthal, choć żyd, jest człowiekiem uczciwym, honorowym, a pan?..

Nie dokończył, bo zerwałem się z fotelu i skoczywszy do niego, huknąłem!

— A ja?

Lichwiarz cofnął się w tył, przeraziwszy się ócz moich, z których tryskały iskry gniewu.

—A ja?—powtórzyłem, zbliżając się do Rosenthala powłóczystym krokiem kota, skradającego się do swej ofiary.

— Nu, ja tylko tak mówię, przepraszam pana, ja tylko tak sobie... bełkotał żyd.

— Pijawko, nędzniku, podły szachraju! — warczałem stłumionym od wzruszenia głosem. Zapłaciłem procentami już dawno kapitał i prawną odsetkę, a ty przemawiasz do mnie, jak do oszusta? Biada tobie, gdy się i moja cierpliwość urwie, bo wtedy uduszę cię, jak żmiję. Rozumiesz?

Zrozumiał bardzo dobrze, bo spostrzegłem, że mierzył wzrokiem przestrzeń, oddzielającą go od drzwi.

Nagle skoczył i wyleciał za drzwi, jakby go wściekły pies pokąsał. Wyrzuciłem za nim na ulicę czapkę, którą zapomniał w pośpiechu na stole.

Skok żyda był pocieszny, ale mnie odbiegła ochota do śmiechu.

Stanąłem w oknie i patrzyłem przez szyby na drobny deszcz rozpoczynającej się jesieni, ścierający z równin nadmorskich pozłotę, w które je ustroiło zgasłe już lato. Skowronki i ptaki wodne odbiegały do stref cieplejszych, a na polach zalegało błoto. Deszcz, szara dal, ogołocone z liści konary drzew i błoto! Tak musi wyglądać Anglia, gdy na nią spadną ulewy. Nie dziw, że synowie Albionu chorują na spleen.

Nie wesołe myśli rodziły się w mózgu moim na widok tego smutnego krajobrazu. Przecież niedawno temu ścigałem tęsknem okiem sznur dzikich gęsi, odbiegających na południe. Zdawało mi się, że i mnie byłoby lepiej, gdybym przypiął skrzydła do ramion i poszybował za niemi w nieznane kraje, gdzie niema nieprzyjemnych zwierzchników, natarczywych wierzycieli i płaczących żon. Przypominały mi sie wszystkie marzenia studenckie o podróży naokoło ziemi. Będę budował w Persji, Arabji, Egipcie i w Meksyku, pojdę wszędzie, gdzie zawołają, bo inżenier nie potrzebuje znajomości, ani języka, ani zwyczajów. Liczby nie mają narodowości.

Gwałtowna, pierwsza miłość stłumiła we mnie pragnienia młodości, zapanowawszy nad niemi wszechwładnie. Lecz dziś poniewierany przez całe otoczenie, deptany drobiazgowością pospolitego życia, odczuwałem roskosze dawnej swobody.

Zapóźno! Aparat domowy przywalił mnie, przygniótł olbrzymią skałą, iż nie mogłem się ruszyć. Schylałem się pod tym ciężarem coraz więcej, upadając na twarz. Coś się we mnie rwało...

I to za co? Dawałem żonie mojej wszystko, na co mnie starczyło, a widziałem że jej nie zadawalniam. Nikła mi w oczach, więdnąc jak kwiatek bez słońca i rosy. Nadeszły już dni w których nie było talara na obiad. Musiałem go dopiero w mieście szukać. Nowej sukienki nie kupiłem mej żonie już od pół roku; na buciki, rękawiczki i kapelusze zdobywałem się z trudem; nie było nawet mowy o wydatkach na zabawy, na uciechy po za domem.

Nie dziwno mi wcale, że zbliżający się niedostatek niepokoił moją gołąbkę. Wprawdzie nie posiadała sama majątku, ale przebywając pod dachem zamożnego wuja, chowana, jak gdyby posażną była panną, przywykła do nieopatrzności bogactwa.

Biedna, nie wiedziała, co to życie pracownika. więc kiedy zacząłem ograniczać jej wydatki, zatrwożyła się i posmutniała. Nie skarżyła się nigdy głośno, lecz każde poruszenie brody, podnoszącej się, jak u dzieciny, zabierającej się do płaczu, odsłaniało mi dostatecznie łzy, które połykała, i słowa, które zamierały w jej piersi. A gdy na mnie spojrzała znużonem, omdlałem okiem, wtedy zdawało mi się, że słyszę nad sobą straszne wołanie: «jestem nieszczęśliwą! Ty jesteś przyczyną mego nieszczęścia!» Byłbym wolał, żeby mnie była złajała, przeniósłbym już nawet spazmy nad to spojrzenie, pełne niewysłowionego smutku. Uciekałem w pole, na deszcze i słoty, na wichry i burze. Było mi dobrze, gdy wiatr szalał na około.

Jakiś szatan kołysał się wówczas prawdopodobnie w kłębach zwirowanego powietrza, bo każdy świst huraganu przemawiał do mnie głosem piekieł.

Przeklęty, jak urągał, jak kusił! Ha, ha, ha. Dozgonna, wieczna miłość? Marny prochu, nie tobie przysięgać i wierzyć w własne uczucie, bo namiętności twoje mijają jak dym, gdy zgaśnie ich twórca, ogień chwilowego obłędu. Kochałeś? A teraz dlaczego nie kochasz? Dlaczego nie klęczysz przed żoneczką swoją, karmiąc się promieniami, tryskającemi z jej ócz, ogrzewając się ciepłym oddechem, wiejącym z jej koralowych ust? Na te lśniące, niedawno oczy padła zasłona: na tych śmiejących się przed półrokiem usteczkach rozsiadł się brzydki wyraz zniechęcenia. A przecież kochała cię i ona. O, i jak! Dlaczego nie zasypia już na twojem ramieniu, nie pragnąc świata po za ścianami twego domku? Bo... bo... nie możesz już płacić za pieszczoty... wygodami, sukienkami, balami...

Jeżyły mi się włosy na głowie, ale zły duch nie ustawał.

Głupi! I ty masz prawo do szczęścia, do swobody. Ty wniosłeś w małżeństwo dwudziestoletnią swą pracę, naukę, stanowisko, słowem wszystko. A ona? Nic, okrom różowej buzi. I cóż masz za to, że ciągniesz taczkę zarobkowania z bezmyślnością wołu, potniejącego na zagonie? Łzy, niezadowolenie, nieme skargi. Głupi! Rzuć wszystko i ruszaj w świat, pokiś młody!

To nie był szatan, lecz instynkt zachowawczy, który mnie tak okrutnie niepokoił, przypominając mi wszystkie marzenia z czasów studenckich. Nie mogłem, nie mogłem! Obowiązki żywiciela kilkorgu ludzi oplotły mnie tysiącznemi węzłami, iż szamotałem się w tej sieci, jak muszka w pajęczynie, grzęznąc coraz głębiej. Gdzieby się oni podziali bezemnie, coby poczęli?

To ostatnie pytanie wracało mi zawsze równowagę. I pchałem dalej taczkę pospolitego zarobkowania, spodziewając się ciągle jakiegoś wypadku, wygranej na loteryi, słowem — czegoś nieprzewidzianego. Lecz życie moje płynęło równo; niezwykłe zdarzenia, owe «może» nie nadchodziły. Rosły tylko długi moje,

a z milutkiego zrazu domku uchodziło ciepło. Niezadowolenie rozsiadło się na wszystkich twarzach, mrożąc każde serdeczniejsze słowo. Żona moja całowała mnie wprawdzie, gdy odchodziłem do pracy, lub gdy wracałem z pola, ale usta jej były zimne, a uściski tak słabe, jakby przymuszone.

Dopiero drugi rok mijał od naszego ślubu, a patrzeliśmy już na siebie prawie obojętnie jak kilkonastoletnie małżeństwo. Czasem brała mnie ochota rzucić się do nóg mej gołąbki, objąć kolana jej po dawnemu, lecz, gdy spojrzawszy na nią, spostrzegłem na jej twarzy blade zniechęcenie, okrutny wyrzut niemej boleści, stygłem natychmiast. Przecież pracuję, robię co mogę, a za to?..

Porwał mnie wówczas gniew i pragnienie ucieczki. Nie mogłem, nie mogłem!

Opuściłem w końcu głowę na pierś, składałem ręce na łonie, zwijałem się w łęk, jak dopędzany przez chartów szarak, nie widzący drogi do ocalenia i... zacząłem żałować tego, co się stało.

Straszna to świadomość! Rozrywała mi ona mózg, krwawiła serce, odbierała mi wszystkie siły.

I dziś, przypatrując się drobnemu, szaremu deszczowi października, nie marzyłem o miłości. Bo, ostatecznie, rozważywszy trzeźwo, mówił ten podły żyd prawdę. Kto niema na to, aby żyć wygodnie, powinien się skromnie, choćby ubogo urządzić. Zapewne. Co do mnie, nie troszczyłem się nigdy o taki lub inny obiad, o twarde lub miękkie łóżko. Zjadłem byle co, spałem gdzie się zdarzyło, nie będąc nigdy w niczem wybrednym. Ale ona? Cóż ona? Nie wniosłszy mi żadnego posagu, nie miała prawa do komfortu i dostatku. Skoro raz za mnie wyszła, powinna się była zastosować do moich dochodów. Chyba to naturalne. Dlaczego się żony moich kolegów niemców nie skarżą? Mam dość tych ciągłych utarczek z żydami, lichwiarzami, djabłami, tego wiecznego szukania talara po świecie. Niech i moja pani pracuje, jak niemki, kiedy nie mamy na służbę.

Niestety! Troski nauczyły mnie szanować i cenić pojęcia i zwyczaje, z których jeszcze niedawno szydziłem. Zacząłem być i ja filistrem niemieckim.

Kiedy się tak męczę różnemi myślami, słyszę za sobą jakiś głos.

— Czego chcesz? — mruknąłem gniewnie.

— Proszę pana, był doktór i zapisał lekarstwo.

Doktór? Pocieram czoło. Prawda, posłałem sam po niego, bo Jadwinia zasłabła mi wczoraj. Może to nic, może to tylko lekkie przeziębienienie, może lekarz był niepotrzebny, ale obawiam się wyrzutów świekry i dlatego...

Ach, ta świekra! Niech jej Pan Bóg nie pamięta wszystkich przykrości, które mi wyrządziła. Gdyby nie ona, możeby się Jadwinia nagięła do moich warunków. Ona mnie przecież prawdziwie kochała, a miłość nie lęka się ofiar. Ale pani Rokitnicka bawiła moją żonę opisami swej dawnej świetności i to zawsze wtedy, kiedy nie było w domu kilku złotych na obiad. Przeklęta baba! Niech sobie rusza do swego bogatego kuzyna, kiedy jej mój ubogi chleb nie smakuje. Ale ona siedzi i siedzi...

— Proszę pana, jest recepta — przypomina kucharka.

— Daj mi pokój!

— Proszę pana, doktór mówił, że trzeba posłać zaraz po lekarstwo.

— Więc idź, spiesz się i przynieś.

— Nie mam pieniędzy.

Sięgam do kieszeni... I ja ich niemam. Prawda, wydałem dziś ostatnią markę, a do pierwszego jeszcze daleko. — Daj receptę, pójdę sam po lekarstwo — odparłem głosem drżącym, nie patrząc na sługę, która nauczyła się już czytać w twarzy mojej.

Nie chcę, aby wiedziała, że jestem znów bez grosza. Nie nowina to dla mnie, a przecież nie mogę się przyzwyczaić do litościwego wzroku służby.

Wybiegłem z domu. Wczesny wieczór jesieni zarzucił już na miasteczko swą czarną oponę nasiąkłą drobnym deszczem, który spłoszył ludzi z ulic.

Dokąd? Niema w całem mieście ani jednej istoty, któraby mi pożyczyła kilka złotych. Pożyczyła? Któż pożycza człowiekowi, który wziętych pieniędzy zwrócić nie może? Takiemu daje się.....

Jałmużnę... dopowiedziałem sobie w myśli. Zawrzało coś we mnie. Jałmużnę... Wcisnąłem obiedwie dłonie w pierś, potem rzuciłem się naprzód... Co to było? Nic nie wiem. Tylko głowa mnie boli, o, tak boli. Mur taki twardy, a jednak nie prysł mój czerep o jego cegły. Tynku opadło tylko trochę i kapelusz mo zgnieciony i pod czaszką szumi.

Ciąg dalszy nastąpi.

ŻYD WIECZNY-TUŁACZ.

(Le Juif errant).

Spoczynku choć chwilę o daj mi, Jehowo!..
Spoczynku, wytchnienia, ochłody!..
Ośmnaście już wieków jak straszne Twe słowo
Przekleństwa zawisło nad nędzną mą głową
I pędzi mię z wichrem w zawody...
Napróżno wyciągam błagalną tę rękę
I wołam: Jehowa się zżali!..
Napróżno!.. Wichr stepów podwaja mą rękę..
Głos słyszę; „Idź dalej, idź dalej!..."
Mijają dnie, lata, dziesiątki lat — wieki,
Mijają nademną jak chwile, —
Jam ciągle jednaki, jam ciągle daleki
Od śmierci tej, której rozwarte paszczęki
Wchłonęły pokoleń już tyle!..
Jedynym snem moim, jedyną nadzieją —
Że świata doczekam się końca...
Napróżno! Świat idzie wciąż jedną koleją,
Wciąż ku mnie swym blaskiem szyderczo się śmieją
Niezmienne, odwieczne te słońca,
Jak były przed wieki—nie bielsze ni krwawsze...
Jak zawsze, jak zawsze, jak zawsze!..

Ośmnaście stuleci, jak jeden słup dymu,
Wpłynęły w przestrzenie i prysły.
Następstwo ich, pełne harmonji rymu
Widziałem ze zgliszczów Hellady i Rzymu,
Z tysiąca tych ruin, co zwisły
Nad wieków przepaścią, by zniknąć na wieki
Jak lampa, co olej swój spali...
A wichr mię wciąż pędzi, a szlak mój—daleki,
A głos brzmi: „Idź dalej, idź dalej!..
O, ileż widziałem ziarn dobra, zasianych
Na twardej serc ludzkich opoce!..
O ileż widziałem w złej myśli wzniecanych
Burz krwawych, co siłą wyroków nieznanych
Zbawienne wydały owoce!..
Widziałem świat stary jak drżał i jak chwiał się'
A przecież wciąż stoi — nie zginął!..
Widziałem jak człowiek do nowych dróg rwał się,
Jak cud za cudami na globie tym stał się —
Świat nowy z fal morskich wypłynął..
Lecz dla mnie Niebiosa wciąż nie są łaskawe. —
Ja cierpię jak zawsze, jak zawsze!..

Na wieczne tułactwo skazane me stopy
O ileż już drogi krwią znaczą!..
Dziś mierzę przestrzenie roiste Europy,
A jutro me oczy — niedźwiedzie już tropy
Na śniegach Syberji obaczą...
Oglądam śmierć wszędy — i słyszę codziennie

Jak człek na jej srogość się żali...
Lecz próżno ją wzywam dla siebie... Niezmiennie
Wichr pcha mię: „Idź dalej, idź dalej!..“
Spoczynku wciąż błagam, wytchnienia, ochłody,
I przecież znajdują się ludzie,
Co pragną orzeźwić mię kroplą tej wody,
Po której, czy mierzę Saharę, czy lody,
Wciąż sięgam w straszliwym mym trudzie...
Lecz próżno! Jak śmierci tak wody kropelki
Jehowa dosięgnąć mi broni...
I bronią mi Nieba pociechy tej wielkiej,
By wolno mi było — litości znak wszelki
Odwdzięczyć uściskiem mej dłoni!...
Więc idę... I ślady mych stóp coraz krwawsze,
Jak zawsze, jak zawsze, jak zawsze!...

I nieraz podnoszę bunt przeciw Jehowy
Wyrokom, co naprzód mię pędzą...
Chcę zyskać spoczynek malutki, chwilowy
Dla piersi gorączką trawionej, — dla głowy,
Gdzie widma się kłębią i jędzą...
Chcę stanąć na skraju cienistej oazy:
Tam żar tego słońca mniej pali!..
Lecz wicher wnet pcha mię... i słyszę wyrazy;
„Idź dalej, idź dalej, idź dalej!..“
Jehowo wszechwładny! Czyż chwila wytchnienia
Znicestwi wyroki Twe srogie?
Nie mogę już zaznać spoczynku ni mgnienia,
Dwóch serca uderzeń wysłuchać wśród cienia,
Tchu w piersi czyż nabrać nie mogę?..
Gdy tyle już wieków me trwają męczarnie,
Nie dośćże Twej sprawiedliwości?..
Czyż wówczas się skończą, gdy ciemność ogarnie
Twe światy — i odmęt pochłonie je marnie,
Rozprószy jak pyłę nicości?
Lecz próżne wołanie o losy łaskawsze!..
Znów pędzę, — jak zawsze, jak zawsze!.

O, ileż to razy w serdecznej tęsknocie
Na twarze spoglądam dziecięce...
Naonczas, niepomny na dni owych krocie
Com przeżył w tych krwawych męczarniach i pocie,
Do dziatek wyciągam me ręce...
I wołam w obłędzie: to moje są dzieci,
Dziewczynki i chłopcy ci mali!..
Jam wczoraj ich rzucił!.. Lecz wichr wnet nadleci
I pcha mię: „Idź dalej, idź dalej!..
„Idź dalej szaleńcze!.. Spłynęły już wieki,
„Jak wygnał cię z domu gniew Boga,
„Jak gnany przekleństwem świat mierzysz daleki...
„Te czasy zapomnień obmyły już rzeki,
„Gdy własna deptała twa noga
„Znikomy proch dzieci, o których dziś marzy
„Twa głowa, gorączką spalona!..
„Dla ciebie dziś dzieci — są jutro już starzy,
„Pojutrze zaś w piersi ich czerw gospodarzy
„I ziemia ich tuli do łona!..
„Rzuć sny — to dla ciebie wspomnienia najkrwawsze!..
„Pędź dalej — jak zawsze, jak zawsze!..

„Gdy kraj mój rodzinny rozpoznam przypadkiem
W wędrówce bez celu i końca
I ujrzę głaz, który przed wieki był świadkiem,
Gdy, dumny przyszłości szczęśliwej zadatkiem
Patrzyłem pogodnie w tarcz słońca, —
Wspominam bezwiednie rodzinę i ludzi,
Co w owej epoce mię znali...
Lecz wicher natychmiast z zadumy mię budzi...
„Idź dalej, idź dalej, idź dalej!...
Oburącz się chwytam za skałę rozpacznie,
Chcąc oprzeć się strasznej przemocy,
Lecz wicher wnet nucić ponurą pieśń zacznie...
Jak wszystko mi tutaj wygląda opacznie!..
Nie będziesz już końca tej nocy?..
„Nie będzie!.. Ta ziemia nie matką dla ciebie,“
Miotając mną wicher mi świszcze,
„Ty nie masz ojczyzny!.. Skazanyś jest w Niebie
„Na wieczne tułactwo po ziemskiem Erebie...
„A wspomnień nie tykaj — to zgliszcze
„To prochy znikome, to widmo najkrwawsze!..
„Pędź dalej.!.. Jak zawsze, jak zawsze!...

„U drzwi twoich niegdyś wśród cierpień swych mnóstwa
„Bóg-człowiek kołatał litości, —
„Nie miałeś jej wcale dla bólu, ubóstwa...
„Bóg mści w tobie krzywdę nie swoją, nie Bóstwa,
„Lecz krzywdę dla uczuć ludzkości..!
„Niech lody polarne przez wieki cię mrożą,
Niech słońce pustyni cię pali!..
„Niech ci w nieskończoność przestrzenie się mnożą!..
„Idź dalej, idz dalej, idź dalej!..
„Przeminą dnie, lata, dziesiątki lat... wieki
„Przeminą nad tobą jak chwile, —
„Wciąż będziesz jednaki, wciąż będziesz daleki
„Od śmierci tej, której rozwarte paszczęki
„Wchłonęły pokoleń już tyle!..
„I będzie jedynym snem twoim, nadzieją,
„By świata doczekać się końca, —
„Lecz próżno! Swiat idzie wciąż jedną koleją,
„Wciąż tobie swym blaskiem szyderczo się śmieją
„Niezmienne, odwieczne te słońca!..
„Pędź dalej! Zostawiaj twe ślady wciąż krwawsze,
„Jak zawsze, jak zawsze, jak zawsze!..

Z Berangera, **L. Kozłowski.**

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z TEATRU.

Od czasu ostatniego naszego sprawozdania, znowu odbyły się w teatrze dwa benefisy.

Pierwszy z nich (22 marca) był benefisem panny Stanisławy Pysznik.

Młoda ta i zdolna artystka posiada powszechną sympatję publiczności. Szczęśliwszą ona jest pod tym względem od wielu swych koleżanek, o których opinje widzów są zazwyczaj różne i t. d. Tylko dawniej o pannie Stachowiczównie, a dziś o pannie Pysznik panuje w opinjach wyjątkowa zgodność. Jak dawniej wszyscy bez wyjątku żywili szczerą sympatję dla panny Stachowiczówny, tak dziś o pannie Pysznik nikt inaczej nie mówi jak tylko z najwyższą sympatją i uznaniem.

I słusznie. Panna Pysznik bowiem jest niezaprzeczenie artystką pierwszorzędnych zdolności, zwłaszcza do ról naiwnych. Talent jej jest oryginalnym i dałby się określić prawie wyczerpująco w tych dwóch wyrazach: *wdzięk* i *prawda*. Mało kto w tym stopniu co panna P. zdoła zachowywać się na scenie bez najmniejszej widocznej przymieszki sztuki, bez najmniejszego silenia się na efekt, bez cienia jakiejkolwiek manjery. Jest to sama natura i prawda, a jednak mieści się w tem najwyższy wdzięk i istotny artyzm — bo prawda życiowa i prawda artystyczna, to dwie rodzone siostrzyce i druga jest najwyższym wyrazem sztuki, skoro w podobieństwie do pierwszej nie wkracza w granice nieestetycznego realizmu. Panna Pysznik umie w tem zachować właściwą miarę, umie trzymać się tego punktu, który Francuzi *le juste milieu* nazywają i dlatego też gra jej jest zawsze tak miłą, tak sympatyczną, tak prawdziwą i artystyczną zarazem, zwłaszcza jeżeli jest zamkniętą w szrankach właściwego tej artystce *emploi*, że sumiennie zaliczyć ją dziś można do najpoprawniejszych między artystkami polskiemi interpretatorek ról naiwnych panienek, swawolnych pensyonarek, wesołych mężateczek itp. Któż z prawdziwem zadowoleniem nie patrzy na wykonywanie przez pannę Pysznik takich ról, jak podprefektowej w *Świecie Nudów*, zakochanej trzpiotki w *Rodzinie Furjozów*, lub naiwnej Lini w *Dzieciakach*, że pominiemy wiele innych ról, analogicznych z powyższemi, a wykonywanych zawsze z równym artyzmem i prawdą?

Benefis panny Pysznik był jej prawdziwym tryumfem. Beneficjantkę powitano tak serdecznemi oklaskami, że czuć w nich było szczery, jednomyślny objaw wyjątkowej sympatji. Nie brakło też i bukietów, ofiarowanych na scenie, za sceną zaś otrzymała beneficjantka piękny upominek składkowy od „wielbicieli jej talentu“ — złotą branzoletę, ozdobioną dużym brylantem.

O sztuce, którą panna Pysznik wybrała na swój benefis, rozpisywać się szeroko nie mamy potrzeby, ponieważ publiczność nasza zna ją dobrze z dawniejszych przedstawień. Była nią jedna ze starszych komedyj Sardou-*Fernanda*. Jest to utwór, posiadający niewątpliwie bardzo wiele zalet ważnych: wielką sceniczność, wzorową poprawność faktury i architektoniki, chociaż nieco ekscentryczną pod względem budowy pierwszego, ekspozycyjnego aktu, gdzie wchodzi galerja osób niewiążących się wcale z dalszą akcją. Oprócz tego odznacza się sztuka widoczną trafnością w pochwyceniu typów, charakterów i obyczajów tego koła, z którego akcja się snuje, tudzież wcale dobrą i szlachetną — ba, nawet ewangeliczną tendencyą, bo dążnością do rehabilitacji upadłej z winy złych ludzi kobiety. A jednak — całość tej sztuki i jej szczegóły wzbudzają w widzu pewien niesmak i odrazę. Ciężko nam i duszno nam w tej amosferze paryzkich wyziewów, męczy nas i razi ten cynizm, w którym się kąpie cały I. akt sztuki, a którego i potem w niej nie brak, zamykamy oczy na widok poniżenia godności kobiecej, które znosić musi Fernanda w drodze do wrzekomej rehabilitacji, i koniec końców opuszczamy teatr z pewnem uczuciem pociechy, że się to już raz nareszcie skończyło.

Tyle o sztuce. Co do gry artystów — była ona w ogóle poprawną. Rolę tytułową odegrała panna Kałużyńska z właściwym sobie uczuciem i nastrojem prawdziwie traicznym. Panna Sułkowska, jako Klotylda, była w początku nieco chwiejna lecz potem trafiła na właściwą drogę i parę scen wybitnych odegrała dobrze, a nawet silnie. Pan Rieger trochę źle umiał swą rolę, Pomerola, zwłaszcza w początku; w akcie III. już ją opanował i odtąd grał poprawnie, a nawet gwałtowną scenę z Klotyldą (akt III.) odegrał świetnie. P. Sobiesław w roli Andrzeja był na miejscu, a wielką sceną z Fernandą (akt IV.) umiał wzbudzić powszechne uznanie widzów. Pani Winiarska zupełnie przyzwoitą była matką Fernandy. Ale prawdziwą ozdobą sztuki, prawdziwą pociechą widzów, niesmakujących w treści, była beneficyantka panna Pysznik, która z wychodzącej po za zakres jej zwykłych ról, roli młodej, milutkiej, lecz zazdrosnej jak komiczny Otello żoneczki Pomerola, zrobiła prawdziwe cacko, tak przewybornie umiała odtworzyć tę oryginalną postać. Twierdzimy też bez wahania, że jest to rola, stanowiąca ważny, a wielce korzystny krok na nowych drogach tej artystki, prowadzących ją ku szerszej widowni.

Drugim etapem, na którym zatrzymać się dziś musimy w naszem sprawozdaniu jest benefis p. Szymańskiego.

Zasłużony ten i wysoce utalentowany artysta bardzo niefortunny zrobił wybór sztuki na swój benefis, wystawił bowiem nowe wprawdzie (dla Krakowa) lecz tak bombastyczne dramidło p. p. Barrier i Beauvellet, p. t. *Zbrodnia w Zamku Faverne*, że daleko lepiej byłby zrobił, gdyby go repertuarowi krakowskiemu w zupełności oszczędził. Jest to ramota stanowczo licha, sensu w niej niema ani za grosz, myśli ani za pół grosza, ale jest za to mnóstwo deklamacyj, tyrad, jęków, płaczu, zgrzytania zębów, rozpaczy, zbrodni, morderstw, trucicielstw i tym podobnych przyrządów do wzbudzenia dreszczy, wyciskania łez, targania nerwów, jeżenia włosów na głowie i wszelakiego torturowania widzów... galerjowych... A te wszystkie okropności obracają się, jak zwykle u Francuzów, około jedynej osi, którą jest apetyt pewnych ludzi do ładnych cudzych żon i słabość tych żon do nasycania takiego apetytu... Ważny to zapewne motor czynów ludzkich, ale przecież są ważniejsze, przynajmniej u nas i dla nas.

Pomimo jednak lichej sztuki, benefis pana Szymańskiego powiódł się świetnie. Teatr był przepełniony, oklasków na powitanie beneficjanta prawdziwa burza, nie brakło nawet upominku wcale pokaźnego, w drodze składki ofiarowano beneficjantowi piękne *étui* z przyborem do pisania — a w niem dwa kosztowne losy loteryjne.

Nie może się tedy uskarżać p. Szymański, że go w dniu jego benefisu nie uczczono. Oddano mu owszem *suum cuique* jako artyście, który całą swą karyerę artystyczną odbywa przez długie lata w Krakowie wyłącznie, cały swój talent niepospolity, całą swą pracę inteligentną a wielce pożyteczną poświęcił jedynie i niepodzielnie scenie krakowskiej, będąc zawsze jej chlubą i ozdobą, bo jest artystą sumiennym, rozumnym i zdolnym, który żadnej roli nigdy nie zepsuł, a wiele z nich podniósł do znaczenia iście artystycznej kreacji. Przed taką zasługą, jaką jest p. Szymańskiego dla naszego teatru, chętnie się uchyla czoła, co też i my czynimy, przyłączając się z całej duszy do oklasków, których jako beneficjant był przedmiotem.

O grze artystów w *Zbrodni* powiemy tylko tyle, że szkoda było ich pracy, zmarnowanej w takiej sztuce. Zresztą p. Szymański, jako Seraphin, scenę warjacji odegrał przewybornie, a i panna Kałużyńska (wiarołomna Prokuratorowa) miała sceny udatne.

A. Z.

Ruch muzyczny.

Koncerta. W uzupełnieniu ruchu muzycznego z ubiegłego miesiąca, dajemy tu sprawozdanie z wieczorku Towarzystwa muzycznego i z poranku muzycznego urządzonego staraniem pp. Barabasza i Wrońskiego na rzecz orkiestry miejskiej. Czwarty wieczór muzykalny krakowskiego Towarzystwa muzycznogo dany dnia 21 marca, utrzymany był na poziomie innych produkcyj tegoż Towarzystwa. Wieczorek rozpoczęto znanym kwintem Schumanna op. 44 na 2 skrzypiec, altówkę, wiolonczolę i fortepian wykonany przez pp. Singera Ostrowskiego Cinka i Bylickiego. Część pierwsza Allegro brillante odegrano stanowczo za wolno, a sama nazwa żąda już ożywionego tempa. Pieśni ludowe Mendelsohna na sopran, alt, tenor i bas (solo) odśpiewane przez panie Niedzielską i Wopalko, jakoteż pp. Bukowskiego i Niedzielskiego podobały się ogólnie.

Zamiast zapowiedzianego programu Madrygału Gounoda odśpiewał p. Reich dwie pieśni solowe na baryton t. j. Moniuszki „Śpiewak w obcej stronie“ i „die beiden Grenadiere“ słowa Heinego. Ostatni ustęp tej kompozycji stanowiący Marsyliankę nie był należycie oddany i przeszedł bez wrażenia. O wiele lepiej śpiewał tę pieśń dawniej p. Niedzielski. Znany pianista p. Bylicki odegrał z powodzeniem Chopina Largo i Finale z sonaty H-moll. Na zakończenie wieczorku odśpiewał chór męski Towarzystwa „Na czułenku“ Beschnitta na solo baryton i chór, oraz Kleffla „Dzień radośny“ solo kwartet i chór męski.

We wtorek dnia 25 marca odbył się w sali hotelu Saskiego poranek muzykalny z współudziałem pp. Frenkla artysty dramatycznego, Cinka wiolonczelisty, chóru żeńskiego i chóru akakdemickiego. Tak bogaty program koncertu, jakoteż i wykonanie zasługuje na szczere uznanie znawców. Nie pojmujemy atoli tej dziwnej apatji czy obojętności publiczności naszej, która sprawiła, iż sala koncertowa świeciła pustkami. Sądzimy, iż sam cel szlachetny powinien był szczelnie zapełnić salę Saską; szło tu bowiem o naszą orkiestrę krakowską. Nasza arystokracja nie była reprezentowaną.

Lecz wróćmy do poranku rozpoczętego śliczną symfonją (g-moll) Mozarta, wykonaną przez orkiestrę miejską. Huczne oklaski zyskał następny tercet na głosy żeńskie. „W ogródku słowik nuci śpiew“ kompozycji J. Galla.

Również numer następny był przez publiczność bardzo sympatycznie przyjęty t. j. gra p. Cinka, który pięknie wykonał koncert Goltermana na wiolonczelę z towarzyszeniem orkiestry.

W poprzednim numerze „Przeglądu“ wyraziliśmy życzenie, by p. Barabasz powtórzył rychło słynny Requiem Mozarta ale w całości tj. włączając trzy opuszczone ustępy. Życzeniom tym stało się zadość, usłyszeliśmy wspaniałe to arcydzieło na tym koncercie w całości i starannie wykonane pod dyrekcją p. Wiktora Barabasza. Do urozmaicenia tego poranku przyczynił się znany nasz i ceniony artysta dram. p. Frenkel, który z wielką finezją wygłosił wiersz p. t. „Mucha“, a po hucznych oklaskach dodał jeszcze „Wet za wet.“

W bieżącym miesiącu mieliśmy dwie produkcje muzyczne, a mianowicie koncert p. Wincentego Singera w dniu 2 kwietnia i wieczór mięszany krakowskiego Towarzystwa muzycznego dany w piątek dnia 4 kwietnia r. b. Z nielicznych gości obecnych na koncercie p. Singera pewna część przybyła za późno, a druga przed koncertem Godarda t. j. właściwym popisem koncertanta ulotniła się, co jest trochę... nieładnie. P. Singer nieustanną pracą wyrobił sobie technikę, dozwalającą mu wykonywać utwory tej miary jak Reineckiego fantazję lub koncert Godarda. Talent atoli jego więcej nadaje się do wykonywania utworów mniejszych rozmiarów i tak na „Romans“ Svondsona ładnie wykonał. W tańcach węgierskich Brahmsa brak był nieco ognia, a z drugiej strony w miejscach lirycznych tej słodyczy, która u innych skrzypków tak porywa i nęci. Słyszeliśmy te „tańce“ grane przez pierwszorzędnych artystów europejskich, są to utwory dla koncertantów bardzo wdzięczne. Jako pierwszy lub drugi skrzypek w kwartecie zadawala p. S. wszelkie wymagania.

Koncert ten rozpoczął się wykonaniem waryacji op. 31 Żeleńskiego na 2 skrzypiec, altówkę i wiolonczelę odegranych nader starannie przez pp. Singera, Ostrowskiego, Wrońskiego i Cynka. Waryacje te są utworem ładnie obmyślanym i misternie przeprowadzonym. P. Bylicki z koleżeńską uprzejmością przyjąwszy współudział w tym koncercie wykonał śliczną, pełną poezji balladę F-moll Chopina i dwa utwory brawurowe t. j. rapsodyę Nr. 10 Liszta i walc Straussa „Man hat nur einmal“ w transkrypcji Taussiga. Kwartet wokalny męski odśpiewał Voita „Es war einmal ein König.“

Program wieczoru muzykalnego Towarzystwa muzycznego zawierał wyłącznie utwory Heydena, jakoteż krótki odczyt o tymże mistrzu. Bardzo

pochwalamy tę myśl urządzania wieczorów poświęconych Beethowenowi, Mozartowi, Chopinowi, Schumanowi itp. ale pragnęlibyśmy umiejętnego wyboru dzieł kompozytora, dającego słuchaczom o ile możności prawdziwy obraz jego twórczości. Heyden, którego śmiało nazwać można ojcem muzyki nowożytnej napisał prócz 82 kwartetów, przeszło 100 symfonji, napisał słynne „pory roku,“ „siedem słów Chrystusa“ i wiele innych arcydzieł, w których nowe tory, nowy styl w życie wprowadził.

Z programu wieczoru Towarzystwa muzycznego nie można byłoby sobie wyrobić zdania właściwego o tym wielkim mistrzu. Kwartet smyczkowy op. 1. Nr. 1 jest to utwór bardzo słaby. Ostatni kwartet jest dziełem niewykończonem, a więc nie dającem również dokładnego obrazu twórczości tego kompozytora. Pysznie wykonano trio (E-moll Nr. 6 na skrzypce, (p. Singer), wiolonczelę (p. Cynk) i fortepian (p. Żeleński), dobrze odegrano również kanon pod tytułem „Ecno“ na dwa tria smyczkowe, a mianowicie na estradzie pp. Singer, Bukowski i Cynk i echo (ukryci) pp. Hock, Ostrowski i Sandoz. Chór mieszany z towarzyszeniem fortepianu „Aus dem Dankliede zu Gott“ poszedł słabo, o wiele lepiej zaś solowe kwarteta na sopran, alt, tenor i bas a mianowicie „der Augenblick“ i pieśń humorystyczna „die Beredsamkeit.“ P. Stanisław Tomkowicz miał dobrze opracowany odczyt o Heydenie, lecz za mało było tam krytycznej oceny dzieł; p. Tomkowicz dał słuchaczom szkic biograficzny, kładąc przy tem nacisk na trudności jakie w dawnych czasach artysta-muzyk zwalczać musiał zanim sobie wyrobił imię i stanowisko niezależne.

Maurycy Sieber.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— *Dwa Fragmenty Adama Mickiewicza* dotąd nieznane podał w zeszycie lutowym „Revue Internationale“ wychodzący we Florencji pod redakcją Angela de Gubernatis. Jeden po polsku dyktowany Al. Chodźce d. 2 czerwca 1853 r. nosi tytuł: „Wybór Nerwy“ drugi po francusku: „Ludy zamieszkałe w Italji przed założeniem Rzymu.“

— P. *Władysław Bełza* wydał we Lwowie *„Kronikę potoczną i anegdotyczną z życia Adama Mickiewicza“* ze stalorytami wizerunków Maryli i Adama, bardzo udatnemi. Cena dziełka 2 złr.

— W *Jul. Słowackiego* pozostałych papierach odkrywa czynny badacz H. Biegeleisen coraz więcej fragmentów poetycznych i ważnych biograficznych szczegółów. Oprócz „Króla Agisa“ drukowanego w „Bluszczu“ umieszcza „Echo muzycz. i teatr.“ warszawskie ułamek dramatu z dziejów Wielkiego Nowogrodu; a Przewodnik naukowy i literacki z „Pamiętnika Jul. Słowackiego.“ Toż samo „Echo“ zapowiada fragment powieściowy tego poety, skreślony w języku francuzkim p. t. „Le Roi de Ladava.“

— Księgarnia nakładowa Levy'ego i Müllera w Stuttgardzie ogłasza prenumeratę na interesujące dzieło p. t. *„Perły literatury powszechnej.“* Będzie to zbiór studjów estetyczno-krytycznych pióra *H. Normanna* ważny dla nas z tego względu, że między innymi spotykamy się tu z imionami Mickiewicza i Krasińskiego, których „Tadeusz“ i „Irydion“ ma być przedmiotem studjów. Całe dzieło w 16 zeszytach kosztować będzie 8 marek czyli 4 złr. 80 ct.

— *Alfons Daudet* napisał nowy romans p. t. *„Safo“*, który drukuje niedawno powstały dziennik „Echo de Paris.“

— *Do biografji Goethego* odkrył prof. Werner nowe przyczynki w familijnem archiwum hr. O'Donnel w Salzburgu. Między innymi ma się tam znajdować nieznany poemat Goethego, 18 jego listów z lat 1810—1823 rysunki ręczne, jeden list do Krystyny de Ligne i nieznany portret, który będzie dołączony w odbitce do pojawić się mającego dzieła p. t. „Goethe i hr. O'Donnel.“

— *Rudolfa Gottschalla* komedja „Schulröschen“ zyskała powodzenie w lipskim teatrze miejskim; atoli ostatnie dwa akty słabe, spowodowały autora do przerobienia.

— *Juliusz Rosen* napisał czteroaktową krotochwilę p. t. „O te dziewczęta!“ (O diese Mädchen).

— *Hr. Bombelles* wielki ochmistrz arcyksięcia Rudolfa jest autorem jednoaktowej komedyjki p. t. „Prima Aprilis“ (Ein Aprilischerz), ktoą odegrano w Karolowym teatrze we Wiedniu na dochód stowarzyszenia dziennikarzy „Concordia.“ Autor ukrył się pod pseudonymem Karola Alberta.

— Do Berna (szwajcarskiego) zwołano międzynarodowy *kongres*, mający obradować nad *ochroną własności artystycznej i literackiej.* Projekt ustawy międzynarodowej uchwalony we wrześniu roku ubiegłego, zawiera między innymi w §. 8. zasadę ochrony wszelkich dzieł, które nie wychodzą na widok publiczny. Ponieważ jest bardzo niewyraźny, wątpią przeto w jego przyjęcie.

— *Poseł Dorsheimer* przedłożył Izbie w Waszyngtonie projekt *ustawy przeciw bezprawnym przedrukom*, który obok wielu przeciwników, liczy w ogólności na poparcie intelligencji i zamożnej klasy księgarzy.

— Przedostatni numer petersburgskiego „Kraju“ podaje dosłowny przedruk z umieszczonego w naszem piśmie „Sprawozdania z obrad I-go Zjazdu literatów i artystów polskich. Sprawozdanie to wyszło w tych dniach w osobnej odbitce nakładem Komitetu Zjazdu.

— Czwarty zeszyt „Pereł humoru polskiego“ zawiera niezmiernie ciekawą „Peregrinację Maćkową,“ wyjętą z broszury „Peregrinacja Dziadowska“ (1614). Język naśladuje gwarę ludową, treść zaś przypomina późniejszych facecjonitów w rodzaju księcia Panie-Kochanku. Oprócz „Peregrinacji“ zeszyt ten zawiera trzy humorystyczne wiersze Władysława Sabowskiego, „Kiszkę“ balladę Fr. Kowalskiego, Sąd w Pacanowie, kilka ulotnych wierszy humorystycznych M. Gawalewicza, oraz obfitą wiązankę drobiazgów z pism humorystycznych zebranych.

— „Polskie panie i panny“ głośny utwór *Ed. Jelinka* wyjdzie w tłomaczeniu polskiem nakładem księgarni K. Bartoszewicza w Krakowie.

— Najnowszy romans *Zoli*: „Germinal“ podejmuje kwestję socjalistyczną.

— Przedmiotem mającej się ukazać nowej powieści *Alfonsa Daudeta* ma być nieszczęśliwa miłość.

— Drugi tom korespondencji *Fryderyka II* wyszedł w Berlinie. Układem zajmuje się prof. *Sybel.*

— Stuletnią rocznicę śmierci *Diderota* przypadającą 30 Lipca b. r. mają uczcić wielkim obchodem uczone koła Francji.

— Nakładem K. Bartoszewicza wyszło dziełko: Cesarska biblioteka publiczna i metryka litewska w Petersburgu. Jestto odbitka z Przeglądu liter. i artyst.

— Nakładem tejże księgarni opuszczą w tych dniach prassę piosnki *Berangera* w znakomitem tłumaczeniu *L. Kozłowskiego.*

— Pierwszy tom taniego wydania dzieł *J. U. Niemcewicza* opuści prassę z początkiem przyszłego miesiąca. Zawierać będzie powieści poetyczne, przekłady („Pukiel włosów“ Al. Pope i „Co się damom podoba“ z Vlotaira), oraz drobne wiersze.

— Kurjer Warszawski rozpoczął druk nowelli *Stanisł. Grudzińskiego* p. t. List bezimienny.

— Dnia 12 Kwietnia w College de France w Paryżu odbyła się uroczystość odsłonięcia medaljonów *Mickiewicza, Micheleta* i *Quineta.*

— „Przegląd tygodniowy“ rozpoczął druk ciekawej niezmiernie krytyki powieści *Sienkiewicza*: Ogniem i mieczem. Krytyka ta tem ciekawszą, że wychodzi z pod pióra T. T. Jeża.

— Komedja *Michała Wołowskiego*: Trefniś i lutnista, przedstawioną będzie w b. sezonie na scenie krakowskiej.

— „Ateneum“ pomieszcza interesującą rozprawę *Wł. Smoleńskiego*: Kuźnica Kołłątajowska.

— *Kazimierz Jarochowski* udarował nas cenną swą pracą, pomieszczaną w „Przewodniku naukowym“, a noszącą tytuł: Kamienice i Poznań po Augustowej restauracji.

— „Świt“, nowe pismo dla kobiet, wychodzi od 5 Kwietnia w Warszawie pod redakcją *M. Konopnickiej*. Jak dotąd zaleca się starannym doborem artykułów.

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

† *Feliks Księżarski*, znakomity architekt polski, restaurator Bibl. Jagiellońskiej, zmarł w Krakowie dnia 7 Kwietnia.

— *Mierzwiński* uznany został w Wiedniu za najznakomitszego z żyjących tenorów.

— Na krakowską wystawę Sztuk Pięknych przybył nowy utwór *Jacka Malczewskiego*: Czytanie listów na Syberji.

— P. *Kazimierz Pochwalski* wykończył niewielkich rozmiarów, ale wysokiej wartości obrazek rodzajowy: W szynku. Dawno nie spotkaliśmy takiego wykończenia połączonego z takim artystycznym smakiem jak we wspomnianym obrazku.

— W połowie lipca b. r. odbędzie się *uroczystość muzyczna* w Szwajcarji, na której wykonane być mają oratorja Liszta „św. Elżbieta“ i Händla „Samson“. Liszt objął kierownictwo koncertów. Uroczystość potrwa 3 dni.

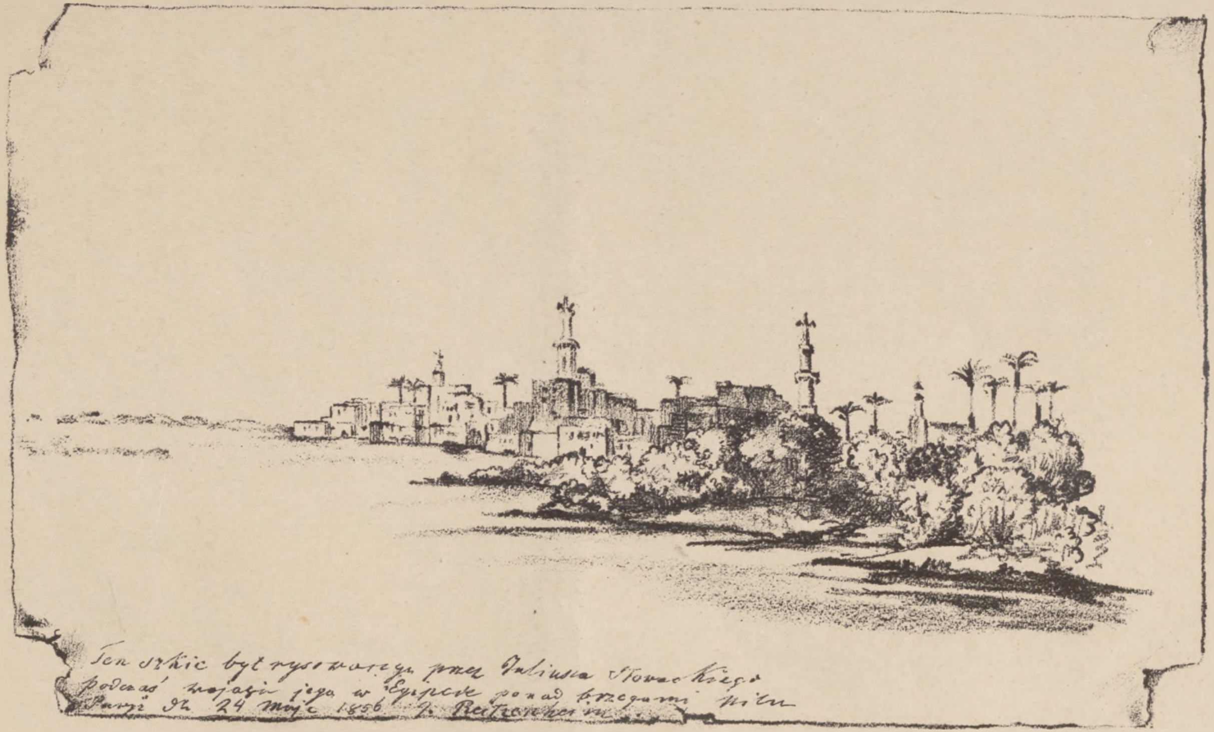
— *Masenet* pracuje nad nową operą „Loreley“ do słów Juliusza Barbiera.

— Duński kompozytor *P. C. Lange-Müller* wystawił w Hamburgu nową dwuaktową operę p. t. „Hiszpańscy studenci,“ która jak zapewniają, ogólny zyskał poklask.

— Dr. *Jean Paul Richter*, znany badacz sztuki wydał w Londynie dzieło o *Leonardzie da Vinci*, w których przytacza nowe daty do biografji tego mistrza, jak np. że był w Kairze i pomieszcza list, w którym tenże opisuje przebyte trzęsienie ziemi.

— *W Pergamos* wykopano kilka ułamków z walki gigantów i interesujące napisy. Oprócz tego odkryto pod świątynią Minerwy podziemny amfiteatr obszernie i pięknie zbudowany.

Do tego Nru dodają się dwa rysunki Juljusza Słowackiego i „Wycieczka na Wezuwiusz“ S. Kiernickiego.



Z NAD NILU.

RYSUNEK JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

(ze zbiorów M. Pawlikowskiego.)



VEYTOUX.

RYSUNEK JULIUSZA SŁOWACKIEGO

(ze zbiorow M. Pawlikowskiego.)



WYCIECZKA NA WEZUWIUSZ.

RYSUNEK S. KIERNICKIEGO.